„Tobołek” Ewy Chruściel

Ewa Chruściel

Urodziła się w 1972 roku. Poetka, tłumaczka. Wykłada literaturę w Colby-Sawyer College w New Hampshire. Swoje wiersze publikowała m.in. w „Odrze”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Studium”, „Zeszytach Literackich” oraz w „Boston Review”, „Colorado Review”, „American Letters and Commentary”. Wydała dwa tomy wierszy w języku polskim *Furkot* (2003) i *Sopiłki* (2009) oraz jeden w języku angielskim *Strata* (2011), który zdobył pierwsze miejsce w międzynarodowym konkursie Emergency Press. Wraz z Miłoszem Biedrzyckim przetłumaczyła *Prześwity* Jorie Graham (2013). Mieszka w Stanach Zjednoczonych.

TOBOŁEK

Przenosi metafory

jak jeż.

Kłębek

kolczastch zwichrzeń.

Tajemnica zwinięta w sobie.

Teraz zasypia na rękach.

Zasusza koronę

cierniową

w lotos, mały uśmiechnięty

budda.

LIŚCIE MIŁORZĘBU

Twoja mama dała ci liść miłorzębu przed śmiercią.

Długowieczny przybysz oceanu permskiego – rośnie

w nas drzeworyt czekania.

Moja mama to też duch.

Jej głowa pełna żółtych tajemnic.

Liście wiodą mnie naprzód,

gdy idę ulicami Manhattanu, żeby się z nią spotkać.

Klękam, żeby je podnieść – stają się wiosłami –

Moja mama też klęka w parku, żeby zebrać

te same liście,

z tego ich mnóstwa możemy dać

tylko to, co otrzymałyśmy.

Te gaje w nas.

GENIUS LOCI

To historia wyciętego dębu

w ramy dla obrazu Bożej Rodzicielki,

zaaresztowanego podczas

jej peregrynacji po Polsce.

Matkę zaaresztowano,

ale przecież idzie o ramy.

Teraz twarz jej w gałęziach,

jej rysy, konary. Nie puszczaj

gałęzi, tych ram się trzymaj.

Matka pomnaża w załomach,

w prześwitach.

W mszałach srebrnych traw,

w obwodach pajęczych

pragnień. Teraz ta twarz i wieki całe,

od rosy mży.

Zamiast przypisu: 22 czerwca 1966 roku milicja aresztowała obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przemocą odbierając go księdzu Stefanowi Wyszyńskiemu, kiedy przewoził go z uroczystości we Fromborku do swojej archidiecezji warszawskiej. Na frontonie świątyni ustawiono pusty tron. W Sandomierzu, następnym miejscu peregrynacji, eksponowano puste ramy z kwiatami.

PRZEPRASZAM ZA DRZEWA

Na deszczułkach bukowych otworzyłam

twoje imię, a potem odczytałam twoją twarz.

Na drzewie bukowym zjawiła się Matka.

Aniołowie pogubili sandały.

Drzewo było prasłowem.

Czytam teraz książki utkane z pnia buku,

na stronach z witek zaplątują się złe duchy

w drzewie płodności, w którym przodkowie

ukrywali wiersze.

A my ustawiamy wianki w oknach

przeciwko piorunom.

Wiersze pochodzą z tomiku Ewy Chruściel, „Tobołek”, Biblioteka Arterii 2016.

EWA CHRUSCIEL

TOBOŁEK

TOBOŁEK

EWA CHRUŚCIEL

Uraza

W Radio Wolna Europa w Monachium. Od lewej: Piotr Guzy, Sławomir Mrożek, Tadeusz Nowakowski, Jan Jasiewicz, fot. arch. P. Guzego

Piotr Guzy

Pod koniec lata 1969 roku praca nad nową powieścią, którą miał

być „Stan wyjątkowy”, była dobrze zaawansowana, byłem z niej zadowolony i miałem pewność, że Giedroyć będzie chciał ją wydać. I wtedy w moim życiu zjawił się dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium, pan Jan Nowak. Napisał do mnie? Zadzwonił? Z pamięci mi to już wyleciało. W każdym razie zaproponował mi spotkanie w hotelu w Londynie. Pojechałem.

Był nadzwyczaj miły dla mnie, czarujący. Czytał mój „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, który mu się nad wyraz podobał. Nie dziwił się, że dostałem za niego nagrodę „Kultury”, podkreślił też, że radio nadało bardzo pochlebną recenzję „Krótkiego żywota” pióra Gustawa Herlinga -Grudzińskiego, którą wydrukują w wydawanym przez rozgłośnię piśmie „Na antenie”. Powiedziałem, że mi to bardzo schlebia i będę bardzo wdzięczny.

Wtedy zaproponował mi przejście z BBC do Radia w Monachium. Bardzo mu na tym zależało. Wyraził przypuszczenie, że bardzo dobrze by mi się tam pracowało, bo w zespole mają już kilku pisarzy i poetów, tu wymienił Tadeusza Nowakowskiego i z poetów Bronisława Przyłuskiego, więc nie czułbym się osamotniony. Nie podał ile bym tam zarabiał. Ja zaś też nie pytałem. To byla stacja amerykańska, więc zarobki też były amerykańskie, nieporównywalne z tym, co w równorzędnej pracy zarabiało się w Europie.

Podziękowałem mu za zaproponowanie mi pracy w Monachium, ale zastrzegłem się, że z tym trzeba będzie trochę poczekać. Obliczyłem, że sfinalizowanie pracy nad nową powieścią zajmie mi jakieś dwa, trzy miesiące, chociaż nic pewnego nie mógłbym powiedzieć, niepewność, tak było zawsze ze mną, przy pisaniu nigdy mnie nie opouszczała, w każdym razie mógłbym się przenieść do Monachium dopiero gdzieś w początkach, w pierwszym kwartale przyszłego roku. Zapropopnowałem więc, że jak będę miał definitywną decyzję Giedroycia, że mi książkę opublikuje, to mu, znaczy Nowakowi, dam znać i jeśli jego propozycja pracy w polskiej rozgłośni będzie nadal aktualna, to wystąpię w BBC z wypowiedzeniem. I na tym między nami stanęło.

Mnie się w BBC dobrze pracowało, praca nie tylko nie była uciążliwa, ale była ponad to interesująca, byliśmy zawsze *au courant* tego, co się aktualnie działo w Polsce. Praca była dobra, z coroczną podwyżką, była pewność dobrej emerytury, mogłem więc tam zostać, miałem przyszłość zapewnioną. Ale prawdę mówiąc, mnie ciągnęło na kontynent, szczególnie chciałem zobaczyć i doświadczyć z bliska powojenne, okrojone na wschodzie, Niemcy. Może nawet podświadomie zarysowywało się we mnie coś, co mogło ewentualnie przerodzić się w krótszy lub dłuższy utwór literacki, bo kończąc „Stan wyjątkowy” byłbym wewnętrznie otwarty na wszystko, co mogło mi przynieść życie. A przyniosło, bo po kilkunastu latach miałem napisać dłuższe

opowiadanie, „Biedna Lilo”, którego akcja toczy się w Monachium, w moim własnym mieszkaniu na pierwszym piętrze Elisabethstrasse 24, na tak zwanym Schwabingu.

Posłałem maszynopis „Stanu wyjątkowego” do Maisons-Laffitte, Giedroyciowi książka się podobała, będzie ją drukować. Wobec tego napisałem do Nowaka, że z nowym rokiem jestem gotowy przenieść się do Monachium.

I tu spotkała mnie przykra niespodzianka. W odpowiedzi napisał mi, że owszem, oferta nadal stoi, ale trudno mu w tej chwili powiedzieć, kiedy ją będzie można urzeczywistnić. Sprawa rozbija się o pieniądze. Wypełnianie wakatów etatami tylko częściowo leży w jego rękach, ostateczne decyzje zapadają w administracji amerykańskiej. Budżet na sfinansowanie dużej instytucji, jaką jest monachijskie radio, jest corocznie uchwalany i zatwierdzany przez Kongres. Tak wiec z roku na rok nic nie jest ustalone na fest, corocznie więc trwają w Waszyngtonie targi między różnymi departamentami administracji amerykańskiej. Na koniec jednak dodał, że oczywiście jak tylko sytuacja się ustabilizuje, to ponowi swoją ofertę.

Napisałem mu z podziękowaniem, że zechciał mnie poinformować jak się sprawa ma i zapewniłem go, że oczywiście jak tylko perspektywa się wyklaruje, to w każdej chwili będę gotowy przyjąć jego ofertę.

Niecały miesiąc później przyszła z amerykańskiej administracji radia w Monachium, oficjalna oferta przyjęcia mnie w skład polskiego działu rozgłośni. Nie będę wchodził szczegółowo w biurokratyczne postępowanie, w każdym razie w początkach nowego roku byliśmy z żoną zainstalowani w wygodnym trzypokojowym mieszkaniu przy wspomnianej już Elisabethstrasse 24 na tak zwanym Schwabingu. I tak któregoś dnia siedziałem w gabinecie dyrektora radia pana Nowaka w budynku Radia w tzw. Parku Angielskim (*Englisher Garten)* w Monachium i słuchałem jego pochwał pod adresem mojego pisarstwa, jeśli zaś chodzi o konkretną dla mnie pracę, zaproponował mi redagowanie dziennika radiowego, na co chętnie przystałem.

***

Tu muszę się cofnąć o dwadzieścia kilka lat do tak zwanej, i nigdy do końca oficjalnie nie wyjaśnionej, sprawy niejakiego Henryka Rozpędowskiego, która swego czasu dogłębnie wstrząsnęła polską załogą rozgłośni. W czasie wojny Henryk Rozpędowski działał w partyzantce na rozległych obszarach dawnych kresów wschodnich Rzeczypospolitej. Kiedy przez te rejony przewalił się front Armii Czerwonej, nowe władze zarzuciły olbrzymią sieć i wyłowiły tysiące partyzanckich bojowników, nie bacząc na razie na ich polityczną przynależność. Henryk R., który miał za sobą niecałe cztery klasy

przedwojennego gimnazjum, bardzo prędko znalazł dla siebie miejsce w organizowanym przez władze życiu kulturalno-społecznym obozu. Został kierownikiem teatru. Teksty proponowanych do wystawienia sztuk przechodziły przez cenzurę przy sztabie obozu. Nie trwało to jednak długo, Henryk R. sam potrafił w podsuwanych mu tekstach znajdować ideologiczne niedociągnięcia i nie musiał już przedstawiać swoich sztuk do postronnej oceny. Zaufano mu.

Do obozu zjechała wysoka delegacja partyjna. Pięciu ich było, wszyscy w długich skórzanych, czarnych płaszczach. Jeden z nich, dość wysoki osobnik o ciemnej, zniszczonej twarzy, mówił długo o przewadze ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym, kiedy to wreszcie będziemy mieli w Polsce sprawiedliwość społeczną i tak dalej. Na koniec przedmówca zwrócił się do zebranych, czy chciałby ktoś postawić jakieś pytanie, albo uzupełnić jego własne przemówienie.

Henryk Rozpędowski wystąpił przed szereg.

– Chcieliście coś powiedzieć?

– Tak.

– A jak wy się nazywacie?

Powiedział swoje nazwisko i imię.

– Macie jakieś zapytanie?

– Tak

– Mówcie więc, mówcie śmiało, nie bójcie się.

– Wy, towarzysze, dużo mówicie o sprawiedliwości, ale sami nie potraficie zaprowadzić sprawiedliwości tu, w naszym obozie.

– Potraficie dać jakieś konkrety?

– Tak. Chodzi o kuchnię. Jak jest zupa to jedni dostają z oczkiem tłuszczu, a inni muszą się obejść samą wodą. To nie jest sprawiedliwość.

Ten, ktory przemawiał, nie odrywał oczu od ochotnika, wpatrywał się w niego z przemożną siłą swego autorytetu. Wreszcie zapytał:

– A wy wiecie jak ja się nazywam?

– Nie wiem, towarzyszu.

– Jestem towarzysz Fejgin. Zapamiętajcie sobie dobrze to

nazwisko. Towarzysz Fejgin.

Miesiąc później Henryka Rozpędowskiego odesłano do Moskwy.

***

Poznałem go kilka lat później. Już jakoś zahaczyłem się o uprawianie literatury, byłem członkiem Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w Poznaniu. Henryk Rozpędowski zajmował się wychowaniem młodych pisarzy w duchu marksizmu i leninizmu. Straszna nuda. Starał się rozniecić dyskusje, zadawać pytania, jednak rzadko ktoś z czymś występował. Już nie pamiętam z czym wyskoczyłem jednego razu, albo inaczej, z czym się odważyłem wyskoczyć. W każdym razie nie było to po jego myśli. Po skończeniu zebrania, gdy jego uczestnicy już się rozchodzili, towarzysz Henryk Rozpędowski podszedł do mnie i chwyciwszy mnie za guzik od koszuli, głosem, który mógł przywodzić na myśl Łubiankę i niezmierzone obszary Gułagu, powiedział:

– TY uważaj na siebie, bo TY wiesz, co MY z takimi jak TY, robimy.

Nie zrobiło to na mnie pożądanego wrażenia. To już był okres Gomółki, pewnego ideologicznego rozprzężenia, a myśmy już wiedzieli, że jego patron w czarnym skórzanym płaszczu,

towarzysz Fejgin, był już aresztowany, albo miał być aresztowany, różnie mówiono. W każdym razie było wiadomo, że Henryk Rozpędowski był kapitanem czy majorem tak zwanej Informacji Wojskowej, którą to organizację po uzyskaniu przez Polskę wolności uznano za organizację zbrodniczą. Towarzyszowi Henrykowi Rozpędowskiemu udało się wydostać z gmatwaniny międzypartyjnych porachunków. Przypomniano sobie, że kiedyś z powodzeniem prowadził teatrzyk w obozie, więc go skierowano bodajże do Gniezna, gdzie został kierownikiem literackim miejscowego teatru. Ale, że tam już trochę zanadto śmierdział bezpieką, więc długo tam nie posiedział, postarał się więc o to, żeby go skierowano do Poznania. Tam miał zamieszkać w domu Związku Literatów Polskich, gdzie akurat zwolnił się jeden pokój, z którego wysiudano niepokornego, ideologicznie wierzgającego poetę, Wojciecha Bąka. Sprawa była skomplikowana, mało co o niej wiedziałem, samego zaś Bąka nigdy na oczy nie widziałem. A zatem towarzysz Henryk Rozpędowski, zainstalowany teraz w swym mieszkaniu na piętrze, wziął się energicznie do pracy na niwie poprawnej ideologii wśród młodych poznańskich literatów. Nie chodziłem na jego wykłady, nie obchodziło mnie to.

Wkrótce po przewrocie gomółkowskim – w tym czasie też wyszła „Odwilż” Ilii Ehrenburga, która przyniosła z sobą wcale nie tak małe znowu trzęsienie ziemi wśród pisarzy i ludzi kultury tak zwanego „obozu socjalistycznego” – kilku młodych literatów poznańskich uzyskało od władz partyjnych zezwolenie na

powstanie i prowadzenie tygodnika społeczno-kulturalnego pod nazwą „Tygodnik zachodni”, w którym ja prowadziłem dział zachodni. W Szczecinie wybuchła afera sensacyjna, chodziło o zohydzenie jakiegoś zakonu kobiecego. Poleciałem tam. Jednego dnia po południu znalazłem się w jakimś obcym mieszkaniu, bardzo możliwe, że byłem już trochę w stanie wskazującym, kupa ludzi tam była. Nagle zobaczyłem siedzącego w fotelu towarzysza Henryka Rozpędowskiego, ale jakoś był inny, jakby w jego wewnętrznej postaci zaszła jakaś zmiana. Kolega, z którym akurat byłem, powiedział: – Chodź, przedstawię ci go. – Powiedziałem, że nie trzeba, ja faceta znam. Wtedy kolega: – Jutro z żoną wyjeżdżają do Izraela, to jest ich pożegnalne spotkanie. – We mnie jakby uderzył piorun, podszedłem bliżej, powiedziałem: – Nie rozumiem, jak to ty? – Na to towarzysz Henryk Rozpędowski, człowiek z polską krwią na rękach, powiada: – Przecież w tym kraju nie da się żyć.

***

Rozmowa z Nowakiem dobiegła końca, łatwo się z nim rozmawiało, ale mimo tej lekkości wyczuwało się, dla mnie to było to jasne, że on mnie taksuje, drąży, a ja farby nie puszczałem, i do końca mojej pracy w rozgłośni nigdy nie doszło między nami do najmniejszego zbliżenia. Do końca byłem dla niego enigma. A z czasem widziało się gorszące sceny, to płaszczenie się przed nim, to schlebianie mu, a jak przyszły jego

imieniny, to żeby mu złożyć życzenia, do jego otwartego na oścież gabinetu formowała się dziesięciometrowa kolejka, i często nie podchodzono do niego z pustymi rękami. Znany był jeden przypadek, gdzie starszawe małżeństwo ofiarowało mu zestaw jakiejś kosztownej porcelany i Nowak odmówił przyjęcia.

W ciągu wszystkich lat mojej pracy w rozgłośni jeden raz zjawiłem się na jego imieninach, był potężnie zaskoczony. A poszedłem bo chciałem wiedzieć, chciałem zobaczyć na własne oczy jak to monarsze składanie hołdu wygląda. Byłem zdegustowany i powiedziałem sobie, już nigdy więcej. Wstyd mi było za moich bądź co bądź kolegów, z którymi miałem codziennie do czynienia. Ale to wszystko odkryłem dopiero z biegiem czasu. I stopniowo.

Nowak wstał, ja wstałem, odprowadził mnie do drzwi i wtedy, to trzeba sobie wyobrazić, gdy dotknąłem stopą korytarza, znalazłem się w silnych i rozhisteryzowanych objęciach Henryka Rozpędowskiego. On się trząsł, dygotał, niewątpliwie jednym okiem skierowanym na otwarte drzwi, w których stał Nowak i patrzył na ten nad wyraz nieprzyzwoity spektakl. W pobliżu zatrzymało się kilka osób, zapewne z niedowierzaniem w oczach. Wreszcie Nowak się odezwał:

– To panowie się znacie?

Henryk Rozpędowski zdjął ze mnie swe ręce, tylko lewą ręką nadal trzymał mnie za łokieć:

– Ależ tak, już od wielu lat. Zawsze byliśmy bardzo blisko.

– No to cieszę się – to skierowane do mnie – że w pierwszym dniu pobytu w tym gmachu odnalazł pan starego przyjaciela. Mam nadzieję, że obu panom będzie się dobrze ze sobą pracowało. – I z tym, z plecami do wnętrza, wycofał się do swego gabinetu. Ja zaś zrzuciwszy z łokcia nieprzyjemną mi rękę poszedłem w głąb korytrza, skąd miałem wejście do redakcji dziennika. Henryk Rozpędowski mnie nie odstępował i gadał, gadał, że mi pomoże zorientować się kto tu jest kim, bo tu trzeba wiedzieć z kim można, z kim zaś nie, tak jakby solidną część zespołu stanowili kapusie, którzy z byle powodem lecieli do Nowaka. Nie odezwałem się do niego ani jednym słowem. Ale nie było dnia, żeby mnie nie łapał na korytarzu, czy na dole w kantynie, nie wiem, o co mu chodziło.

A ja zastanawiałem się potem, czym były podyktowane Nowakowe życzenia dobrej współpracy, czy była w nich kpina, cynizm, bo wiedząc, że przez kilka lat mieszkałem w Poznaniu, nie mogłem nie wiedzieć jaki tam „sprawował rząd dusz”, zatruwając umysły młodych pisarzy doktryną leninowsko-stalinowską. Zawsze byłem samotnie chodzącym kotem, tak więc i tutaj nie miałem zamiaru trybu mojego życia odmienić. A życie

towarzyskie wśród pracowników rozgłośni kwitło w najlepsze. To było swego rodzaju getto, zakisłe w sobie. Ja i żona nie mieliśmy zamiaru kisić się w tym sosie, tak że z biegiem czasu, nie obrażając nikogo, odmawialiśmy zaproszenia. Przestano nas zapraszać.

Jan Nowak-Jeziorański w 1957 r., fot. ze zbiorów Narodowego

Następne spotkanie z Nowakiem nastąpiło jakieś dwa, trzy tygodnie później. Z jego inicjatywy. Zadzwonił ze swego biura, czy mógłbym na chwilę przyjść. Robotę w redakcji przejął kolega. Poszedłem. Nowak był uroczy, jak on to zawsze potrafił, z przyjaznym uśmiechem na twarzy wskazał na krzesło, żebym usiadł. Pochwalił mnie, że szybko i, jak mu się wydaje, łatwo wdrożyłem się w redakcyjny tok pracy. Wyraził nadzieję, że tok pracy, jej gorączkowość, nie wpływają niekorzystnie na moją własną pracę literacką. Zapewniłem go, że praca w radio w żaden sposób mi nie szkodzi, a rozkład dyżurów daje mi dużo wolnego czasu.

Lekko skinął głową: – To mnie cieszy.

Tu nastąpiła dłuższa przerwa, Nowak bezmyślnie przesuwał papiery na biurku, było to jakby nagłe, był zbity z tropu, jakby sytuacja wymknęła mu się z ręki i nie wiedział jeszcze, jak naprowadzić ją na podległe mu tory. A ja już się domyślałem, więcej, byłem pewny, że wiem, z czym wystąpi.

Wreszcie jakby się uspokoił i z cieniem uśmiechu na twarzy zapytał: – No, a jak się rozwijają pana stosunki z kolegą Rozpędowskim?

Dziwnie sformułowane pytanie, „pana stosunki”. Chyba się domyślał, że już mi było wiadomo z czym, szereg lat temu, ze strony całego zespołu spotkało się przyjęcie tego człowieka do pracy w rozgłośni. Powstały wtedy bunt moralnego sprzeciwu jemu przecież przyszło uśmierzać. Czy robił to uczciwie, nie zgnębiając własnego sumienia? Wchodzę tutaj na bardzo niepewny, powiedziałbym nawet zdradliwy grunt.

***

Szok jakiego doznałem szereg lat temu, kiedy spotkałem Rozpędowskiego w Szczecinie w przeddzień jego wyjazdu z kraju, miał u swego podłoża dwie przesłanki. Miałem przed sobą byłego oficera Informacji Wojskowej, zbrodniczej organizacji, jaką nowi, przybyli z Moskwy władcy, powołali do życia w celu, nie przebierając w środkach, uśmierzenia przeciwnego im narodu i zbudowania mocnego i trwałego gruntu pod nowy, już w swoich początkach znienawidzony system. I ten człowiek, który ma ręce ubrudzone krwią, który utrwalał ten system, który mi osobiście groził, że mnie unicestwi, teraz mówi mi, że przecież „w tym kraju nie da się żyć”. Druga przesłanka wspomnianego szoku zasadzała się w słowie „Izrael”, że jedzie, przenosi się z rodziną do Izraela, czyli jest Żydem. Dotąd nie myślałem o nim, że, jak się mówiło przed wojną, jest mojżeszowego wyznania. Dla mnie to było nieistotne. Pozostawała jednak kwestia: dlaczego emigruje? Poczuł się zagrożony? Tu można by spekulować na

różne sposoby. Może wyjeżdżał z zadaniem do wykonania? Tak myślę teraz, gdy to piszę, a mamy już 2016 rok, wtedy tego rodzaju podejrzenie nie przyszło mi do głowy.

***

Nowak zadał mi pytanie, musiałem na nie odpowiedzieć. Ale jak? Dla mnie fakt pracy Rozpędowskiego w radio był zbyt rażący, żeby przed odpowiedzią schować się w jakieś grzecznościowe ogólniki, nigdy bym sobie takiego tchórzostwa nie wybaczył, pozostałaby jątrząca smuga na moim życiu do jego końca. Powiedziałem:

– Będę z panem szczery. Na pana pytanie mógłbym odpowiedzieć ogólnikowo, tyle żeby grzeczności stało się zadość, ale wątpię czy to by Pana zadowoliło. Mnie na pewno też nie. Opowiem panu o czymś, co mnie się kiedyś wydarzyło. – Ktokolwiek będzie czytał od początku te moje „wspominki", już będzie wiedział do czego zmierzam. Więc powiedziałem: -Ten człowiek zagroził mi, że mnie unicestwi, powiedział: – TY uważaj na siebie, bo TY wiesz, co MY z takimi jak TY robimy. – I te słowa należy brać poważnie, on był zdolny mnie zlikwidować, to nie były żarty. Oni na prawdę zabijali ludzi, zwłoki zakopywali w dziurach gdzieś po lasach, oni na prawdę torturowali ludzi, więc niech pan się nie dziwi, że dla mnie ten człowiek, oględnie mówiąc, ma brudne ręce i dla mnie każdorazowe minięcie go tu na korytarzu jest

kpiną, jest drwiną z jego strony, on się ze mnie śmieje. Ale niewątpliwie z czasem przywyknę do zaistniałej sytuacji.

Atmosfera w pokoju stała się naprężona do krańca wytrzymałości, ale nie zdejmowałem moich oczu z twarzy Nowaka, a on przez kilka dłuższych sekund miał te oczy zasłonięte ciężkimi powiekami, prawa ręka, jak martwa leżała na blacie biurka, wreszcie powiedział z jakimś dla mnie dziwnym westchnieniem:

– Ach, ja wiem, proszę pana, to wszystko jest mi wiadome, on się przede mną wyspowiadał i ja mu wierzę. On sam nikogo nie zabił. Mnie bardzo przykro, że miał pan ten, nie wiem jak to nazwać, incydent, przykry, bolesny, prawdopodobnie nie do zapomnienia kiedykolwiek, ale ja prowadzę politycznie ważną instytucję i dlatego, że on pana uraził, ja dobrze się spisującego dziennikarza dla pana nie zwolnię.

– Nie po to panu o tym opowiedziałem, chciałem tylko, żeby pan wiedział – skinąłem lekko głową. – Pan wybaczy, ale – popatrzyłem na zegarek – na mnie czeka dziennik – podniosłem się z krzesła i wyszedłem.

***

Tu muszę moje sprawy pchnąć naprzód. Rzecz miała miejsce

jakieś dwa lata później, może mniej, nieważne. Ishbel, moja żona, poleciała na dwa tygodnie do Anglii. Byłem sam. Miałem przyjaciela, miał na imię Jerzy, ale w radio wołaliśmy na niego: Wowo. To zawołanie ma swoją historię. Wowo był z wykształcenia aktorem. U nas był jednym z lektorów, ja redagowałem dziennik, przez ścianę było studio, w którym on go czytał. Nam się bardzo dobrze z sobą pracowało, znałem wszystkie jego, w tym czasie, kochanki. Jedną, bardzo lubiłem, miała na imię Lilo. Tym imieniem posłużyłem się, nazywając protagonistkę napisanego wiele lat później opowiadania pt. „Biedna Lilo". W tym czasie w Polsce, zwanej ludową, były już rejsy wycieczkowe bodajże do Danii. Wowo wziął udział w takiej wycieczce i gdy statek wracał przez Kanał Kiloński (?), wyskoczył z pokładu do wody, dopłynął do brzegu, gdzie zaopiekowali się nim przyglądający się Niemcy. W ten sposob Wowo wybrał wolność. Pierwsza praca jaką znalazł, zanim miał sposobność przeniesienia się do Monachium, były zmywaki. Miał coś skądś przynieść, pytał więc: – Wo? Wo? Gdzie? Gdzie? I to do niego przylgnęło. Gdy ja go poznałem, mówił już płynnie po niemiecku. Tego dnia pracowaliśmy razem, dyżur mi się kończył o siódmej wieczorem. Wowo miał czerwony samochód sportowy, nie pomnę jakiej marki i odwiózł mnie do domu. Po drodze wspomniał, że u takiego a takiego kolegi będzie *party*, na które moglibyśmy się wybrać, jakby mi to odpowiadało. Przyjechał po mnie dwie godziny później, butelka wina leżała na siedzeniu, na którym się wygodnie ulokowałem. Ja mieszkałem na tzw. Schwabingu,

blisko samego centrum miasta, kolega, do którego jechaliśmy, mieszkał po drugiej stronie miasta. Tu, po prawej stronie ulicy wznosiły się wysokie kamienice w stylu *fin de siecle.* Ich frontony zdobiły balkony z kutego żelaza, miejscami obwieszone doniczkami, z których wylewały się gęste kiście kwiatów. Lewą stroną ulicy ciągnęły się drzewa o gęstych kopułach, w dole między nimi prześwitywała, srebrząc się migotliwie, powierzchnia powoli płynącej Izary. Wowo zwolnił, skręcił na prawo i z szerokiej bramy wjechaliśmy na rozległe podwórze. Z niektórych okien dolatywała muzyka, w staromodnej windzie z kutego żelaza wznieśliśmy się na piąte piętro.

Ten opis przepisałem dosłownie z opowiadania „Boska Christa", które opublikowałem wiele lat później. Christa, jaką wymyśliłem, była niezwykle piękną kobietą, która się cudownie kochała, a jechaliśmy tą windą do mieszkania, gdzie miał początek nasz romans.

Nagranie w studiu Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Od lewej: Henryk Rozpędowski, Renata Rozpędowska i Jerzy Bozekowski, fot. audiovis.nac.gov.pl

Przyjęcie, zabawa, wylewały się z drzwi otwartych na szeroki korytarz. W chwili, gdy witaliśmy się z panem domu, który w radio pracował w tak zwanej produkcji, zobaczyłem trzy krzesła od miejsca, w którym stałem, Henryka Rozpędowskiego siedzącego w głębokim fotelu, żywo perorującego z facetem, którego widywałem w radiu, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. Rzecz jasna, że gdybym wiedział, że tu się zetknę z tym człowiekiem, to bym tu nie przychodził, jasne. No nic. Ktoś mi wsunął do ręki szklankę, co to było, whisky? Whisky. Z tą szklanką w ręku połaziłem trochę po całym mieszkaniu,

większość osób tu obecnych była mi znana, kilku pytało, kiedy wyjdzie moja następna książka. A potem wróciłem do miejsca, w którym ten obchód zacząłem. Trzy krzesła ode mnie siedział człowiek, w którego mocy było kilkadziesiąt lat temu mnie unicestwić. Rozejrzałem się wokoło, na lewo ode mnie, dwa krzesła dalej, siedziała jego żona, Renata, też lektorka naszych dzienników. Ludzie byli już trochę podpici, mówili głośno, trochę już zbyt głośno i nie na tej samej fali. W pewnej chwili Renata krzyknęła głosem pełnym nieutajonej złości: – Mój Henryczek nigdy nikogo nie skrzywdził! – I nagle zrobiło się cicho i w tej ciszy jej Henryczek, bo miałem wzrok wbity w niego, machnął lekceważąco ręką i lekceważąco, z wielką dla swej Renaty pogardą, powiedział: – E tam, co ty tam wiesz!

Przejęzyczył się? Alkohol już się rozsiadł w jego głowie? W każdym razie przez dłuższą chwilę trwało wymowne milczenie, a ja znalazłem kolegę, który podał był mi mój pierwszy drink i palcem dziobając pustą szklankę dałem mu do zrozumienia, żeby mi dolał. W pokoju nadal wisiała gorzka zawiesina, którą rozerwały dopiero co wypowiedziane słowa, lekko niby replika przy brydżu: – Kochani, gramy dalej czy co? I zaraz zrobiło się gwarno jak na targu.

Piotr Guzy, polski pisarz, urodził się 15 maja 1922 roku. Syn powstańca śląskiego Juliusza, kształcił się (gimnazjum i liceum) w Tarnowskich Górach. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 i został internowany w Rumunii. Zbiegł do Francji, dostał się do wojska polskiego przy generale Sikorskim. Walczył we Francji, Belgii i Holandii w szeregach dywizji pancernej generała Maczka, był ciężko ranny.

Po wojnie pozostał początkowo na Zachodzie, studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. Założył w Anglii rodzinę, ale w 1949 przyjechał do Polski (z żoną i synem), uzyskując stopień magistra ekonomii na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956–1957 pracował w redakcji „Tygodnika Zachodniego".

Prześladowany przez służbę bezpieczeństwa wyjechał w 1957 do Anglii (przez Berlin Zachodni), pracował w BBC; po przeniesieniu do Monachium współpracował z Radiem Wolna Europa. W 1979 zamieszkał w Hiszpanii.

Jest autorem kilku powieści, których akcję umieścił na emigracji lub w Polsce w okresie powojennym. *Krótki żywot bohatera pozytywnego* to monolog wewnętrzny kierownika powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, przestraszonego wizją zmian w

atmosferze odwilży październikowej. Inna znana powieść, *Stan wyjątkowy,* przedstawia los rodziny inteligenckiej w skomplikowanych czasach po wojnie, z licznymi niebezpieczeństwami wynikającymi z pozornie błahych zdarzeń i znajomości z przeszłości.

Jest członkiem Związku Literatów Polskich *(źródło: wikipdia).*

Bolesław Taborski o twórczości literackiej Jana Pawła II

Bolesław Taborski, fot. culture.pl

Florian Śmieja

Z dystansu czasu garstka dziewięciu młodych polskich studentów, która w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego stulecia znalazła się w Londynie, nie przestaje zadziwiać swoją postawą i losami. Wymienię ich nazwiska alfabetycznie: Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Janusz Ihnatowicz, Zygmunt Ławrynowicz, Mieczysław Paszkiewicz, Florian Śmieja i Bolesław Taborski. Zaczęli wtedy wspólnie wydawać swoje pisma i pierwsze książki. Znalazłwszy się na bezpiecznym i zasobnym Zachodzie ludzie ci, po uciążliwych przejściach przez Sowiety i

wojenną Europę, opanowali język angielski ale, choć zdobyli brytyjskie dyplomy uniwersyteckie, sercem przylgnęli do języka i dziedzictwa polskiej ojczyzny. Pozbawieni, z paru wyjątkami, domu rodzicielskiego w niesprzyjających warunkach douczyli się języka polskiego i władali nim do tego stopnia, że potrafili go po mistrzowsku używać.

Może zajęli stanowisko reakcyjne, nieżyciowe, niepazerne, niezrozumiałe dla młodszych roczników marzących o wydostaniu się czym prędzej z Polski i robieniu kariery na Zachodzie.

Może jednak ci młodzi ratowali duszę ukształtowaną przez międzywojenny etos wychowania i oświaty w Polsce i dali świadectwo pogrobowców wartościom utraconej ojczyzny, spadkowi trudnego dziedzictwa. Obecnie, patrzącego na dokonania tych nie wyobcowanych przez wojnę i Zachód młodych, zdumiewa bogactwo ich osiągnięć. Rodzi się pytanie: skąd wzięła się ich niespożyta energia i ambitne inicjatywy, by zrobić coś dla Polski, by przysporzyć jej chwały mimo, że Polska nie dała im ani wykształcenia, ani zawodu, ani pracy czy wynagrodzenia, ba, nawet uznania? Co było motorem ich aktywności? I dochodzę do wniosku, że chyba tylko bezinteresowne, synowskie przywiązanie i poczucie moralnego obowiązku. Dumałem nad tym fenomenem nie raz.

Jeden z nich, Bolesław Taborski został w 2007 roku wyróżniony

przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie nagrodą za całokształt twórczości literackiej.

Przepracował 34 lata w polskiej sekcji BBC redagując magazyn artystyczno-literacki, tłumacząc angielskie sztuki i sporządzając sprawozdania z festiwali artystycznych. Była to ciężka harówka, ale doczekał się szczęśliwie emerytury. Mieszkając od 1953 roku w Londynie, był ogromnie życzliwym i koleżeńskim społecznikiem, jeździł regularnie do Polski i szczodrze się udzielał w polskim życiu teatralnym.

Urodzony w Toruniu w 1927 roku brał udział w Powstaniu Warszawskim jako jeden z najmłodszych żołnierzy. Po wyjściu z niemieckiego obozu jenieckiego w Sandbostel ukończył polskie liceum w Lubece. Teatrologię studiował na angielskim uniwersytecie w Bristolu.

Potem pojawił się w Londynie i tam go poznałem. Dołączył entuzjastycznie do grupy młodych absolwentów zainteresowanych polską literaturą i wszedł do redakcji miesięcznika “Merkuriusz Polski”, a później “Kontynentów” w latach 1957-62. W tych pismach drukowaliśmy wiersze nasze i staczali pierwsze publicystyczne potyczki, kiedy zaczęły nas uwierać emigracyjne pęta. Nadzieje związane z polskim Październikiem kazały i na uchodźstwie szukać zaangażowania w budowę sprawiedliwej Polski. Taborski łatwo się entuzjazmował i

wierzył zapewnieniom propagandy reżymu. W ostrych słowach potępił sytuację we władzach emigracji londyńskiej okazując pobłażanie dla niedobrych oznak na rewizjonistycznym niebie. Zdrowy instynkt kazał mu jednak bratać się z właściwymi ludźmi i wartościowymi ośrodkami. Poniechał też ambiwalentne hasła. Tymczasem został okrzyczany czarną owcą i tylko dzięki rozwadze brytyjskich szefów utrzymał się na stanowisku do końca.

Teatrolog z wykształcenia, a z zamiłowania poeta był człowiekiem niezmiernie pracowitym. Oprócz wydania dwudziestu kilku tomów poezji zaczął przekładać z języka polskiego i na polski. To dzięki niemu Anglosasi poznali trzy tomy esejów Jan Kotta, pisma Grotowskiego, Przybylskiej i innych autorów. Polski czytelnik otrzymał przekład powieści “Moc i chwała” Grahama Greene’a, wiersze Gravesa i Larkina oraz dwadzieścia sztuk teatralnych Pintera.

Florian Śmieja (z lewej) i Bolesław Taborski

W czerwcu 2007 r. umówiłem się z Bolkiem na spotkanie w Warszawie. Miał do nas dołączyć Janusz Ihnatowicz z Teksasu, również poeta z dawnych, londyńskich czasów, ale pilne sprawy zatrzymały go w Kielcach. Jakiś czarownik spowodował, że będąc z Bolkiem w tym samym czasie, w tym samym miejscu, nie spotkaliśmy się, aż do ponowionej próby na Mokotowie. Tam Bolek wręczył mi swoją najnowszą książkę: ”Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyle, Janie Pawle II, szkice, wspomnienia, wiersze”.

To nie byle jaka książka. To świadectwo nowego, odmienionego

życia. Autor we wstępie mówi:

> ”Książkę moją traktuję jako relację osobistą z duchowej wędrówki za wspaniałym i wielkim Człowiekiem naszych czasów”, a także, „chodziło mi o omówienie poezji Jana Pawła II, przybliżenie Jego dramaturgii, opisanie tego, co widziałem w Watykanie na podstawie dzienników prowadzonych przed zamachem 13 maja 1981 r., w trakcie pobytu tam, i oczywiście kontaktów osobistych i korespondencji”.

Napisał ją z obowiązku jako hołd i podziękowanie za Jego obecność. Składał ją, kiedy papież chorował. Książka zdążyła na czas. Papież miał ją jeszcze w ręku i przekazał Swoje błogosławieństwo.

Taborski przedstawił w niej i zinterpretował poezje papieża od “Pieśni o Bogu ukrytym” aż po “Tryptyk rzymski”. Jego kompetencja i wrażliwość poetycka są wydatną pomocą dla czytelnika, jak kiedyś służyły słuchaczowi jego audycje w BBC.

Przypomniał stwierdzenie Jana Pawła II:

> “Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie szerokim nurtem natchnień, mających swe źródło w Ewangelii”.

Słowa te każą myśleć o arogancji naszego domorosłego guru, który mnie karcił jeszcze w Londynie za używanie ewangelicznych ech w moich wierszach, bo uważał je za starocie. Kiedyś ludzie chodzili do kościoła i byli w kontakcie z Pismem

św., perorował, ale dzisiaj?

Kolejna cześć książki mówi o teatrze Karola Wojtyły od zaginionego dramatu “Dawid” i przekładu “Edypa” Sofoklesa spolszczonego dla Juliusza Osterwy poprzez szerzej omawianego “Hioba”, “Jeremiasza”, “Brata naszego Boga”, “Przed sklepem jubilera” po “Promieniowanie ojcostwa”.

W trzeciej części książki autor opowiada o swoich spotkaniach z papieżem na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Tom zamykają wiersze Taborskiego napisane dla papieża, bibliografia i pomocny indeks osób. Rzadkie fotografie, m.in. z inscenizacji papieskich sztuk, podnoszą wyjątkowość książki poświęconej literackiej twórczości niezwykłego papieża, kustosza wielkiej nadziei.

Bolesław Taborski zmarł w 2010 roku w Londynie.

Bolesław Taborski, Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyle, Janie Pawle II szkice, wspomnienia, wiersze, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2005, str.402.

Otruty kwiatem

Marcin Kurek czyta poeamat „Oleander”,
źródło: kultuba.info

Jacek Bierut

Widzialny dowód na istnienie południa – tak w „Oleandrze”, poemacie uhonorowanym nagrodą Kościelskich (2010), jego autor, Marcin Kurek, określa przywiezioną do Polski podstępną

gałązkę. Od niej bierze się całe nieszczęście, ale też całe szczęście, czyli pomysł na książkę, od razu dodajmy, książkę bardzo udaną, nagrodzoną słusznie (nie słychać sprzeciwów, co w ostatnich latach rzadko miało miejsce po ogłoszeniu werdyktu szanownego jury), książkę gotową do wywołania fermentu w coraz mniej pewnej siebie (a właściwie narzuconych sobie ograniczeń) współczesnej polskiej poezji. Książkę, która jest widzialnym dowodem na to, że wciąż można pisać lekko i przede wszystkim *znaczeniem*, i nie być przy tym niczyim pogrobowcem.

Marcin Kurek debiutował arkuszem poetyckim („Monolog wieczorny", OKiS, Wrocław) w 1997 roku. Później ogłaszał swoje wiersze (przez stosunkowo krótki czas) w prasie literackiej, żeby jako poeta zamilknąć na dekadę. To milczenie rekompensuje czytelnikom w pewnym stopniu jego praca translatorska. Tłumaczenia z francuskiego, hiszpańskiego i katalońskiego. Bunuel, Rimbaud, Roche. Przede wszystkim Brossa, za przekład którego nagrodziła tłumacza „Literatura na Świecie". Ale jak widać, ciągnie (na szczęście) wilka do lasu, znaczy w tym wypadku ciągnie owcę od lasu.

Bo wielkim walorem tego poematu w siedmiu pieśniach jest właśnie jego przewrotność. Tu się swobodnie przekracza, wydawałoby się nieprzekraczalne dziś granice. Tu się siada na granicznym słupku między epokami i z przyjemnością majta nogami. Tu się powraca do wysokiego modernizmu, jak do

trampoliny, dzięki której udaje się przekroczyć ostre linie brzegowe, w które poezja się wyposażyła po jego odrzuceniu. Jak w balecie, dwa kroki w tył, żeby można było zrobić trzy do przodu (bez wartości dodatkowej, że w balecie równie często bywa odwrotnie). Chodzi o samą formę, pola tematyczne i sposoby ich realizowania, ale także na prostej zasadzie, powrót do starych mistrzów z nowym oprzyrządowaniem. Już samo motto urzeka. Jest bardzo ryzykowne, bo to początek „Upiora" Mickiewicza, czyli żelazny początek wszystkich wydań jego „Dramatów" bądź „Utworów dramatycznych". *Serce ustało…* Ryzykowność polega na tym, że kiedy się je czyta, będąc tuż przed lekturą „Oleandra", czyli tak, jak w tym kontekście powinno się je czytać, można odnieść mylne wrażenie, a nawet uprzedzić się do książki. Że oto następny *romantyczny* (nadwrażliwy, skrajnie egocentryczny i pełen emocji) poeta ogłasza nam swoje dzieło. Szybko jednak czytelnik się przekonuje, jak to motto jest celne, i w jak przewrotny sposób zostało użyte. Dosłowność, merkantylna (w nienacechowanym – pierwszym, tak jak słów używa Kurek – znaczeniu tego słowa, czyli nastawiona na czysty, dobry zysk, niekoniecznie własny) dosłowność – to jest jedna z wielu zalet tej książki.

Akcja poematu bowiem to zapis zupełnie zwariowanego i zarazem całkowicie przypadkowego sposobu na śmierć. Sposób jest o tyle *przyjazny* dla czytelnika, że osoba mówiąca w tych pieśniach do samego końca ma mnóstwo czasu (siedem

regularnych pieśni) na zdanie relacji i dysponuje absolutnie niezachwianym i precyzyjnie funkcjonującym umysłem, wyposażonym w sprawny, konsekwentnie budowany i przejrzysty aparat językowy. Cóż to za sposób na śmierć? Sądzę, że na tym motywie spokojnie można zbudować dobry kryminał, ale także ciemną, *rodzinną* powieść psychologiczną, ze zbrodnią doskonałą w tle. Otóż jedną z przewrotności tej książki jest to, że odwraca ona wielokrotnie i często z dobrymi skutkami realizowany motyw podróży na południe. Popularny topos odkrywania *śródziemnomorskości* na żywo w okolicznościach architektury i natury, ale także jej licznych śladów w naszej *bałtyckości*. W tej książce przewrotnych realizacji z południa się wraca. Równie urokliwie. Opisy historii miejsc, zajmujących podmiot liryczny, są naprawdę ciekawie prowadzone, bez zbędnego przegadania (zagadywania czytelnika, epatowania szczegółem, światowością i odległością), delikatnymi, ale mocnymi i wyrazistymi kreskami. Ale to jest tylko jeden z wielu planów tej książki. Najważniejsze jest to, że powracający wiozą z bagażniku gałązkę oleandra, dla zachowania jej przy życiu wsuniętą do butelki z wodą. Oleander to roślina ozdobna – to jest jej podstawowa funkcja, ale jako że książka jest przewrotna, należy w tym wypadku dodać – o silnych właściwościach trujących. Po powrocie gałązka wędruje w inne miejsce, znika nam z pola widzenia, ale właśnie to (znów przewrotność – brak podstawowego rekwizytu) powoduje, że zagrożenie wzrasta. Nieświadomy bohater pije wodę z tej butelki. Prawdopodobnie fakt ten nie pociągnąłby za sobą

żadnych skutków, gdyby nie to, że zostaje mu uświadomiony. Wbrew pozorom, nie panika staje się osią napędową poematu. Pojawiają się znacznie ważniejsze dominanty, świadomość, zakotwiczenie w kulturze, w rodzinie, ale także filmy z własnej przeszłości. Tak zaczyna się konstrukcyjny majstersztyk. Najważniejszą jego zasadą jest realizowany z precyzją (właściwą – jak by inaczej – hispanoamerykańskiej prozie – kojarzy się oczywiście tłumaczony przez Kurka David Huerta) podział czasowy. Tu – umieranie, i Tam – czyli wędrówka przez własne życie i kulturę. Oba plany czasowe niezmiernie barwne i bogate. Migotliwe. Nakładają się na siebie w rytmicznych sekwencjach.

Tu (Teraz) – nic nie boli, nie ma żadnych namacalnych zwiastunów szybkiego końca, ale niepokój narasta. Następuje szybkie poszukiwanie informacji. Przede wszystkim źródłem jest internet, ale zaczynają się telefony, dość nerwowe (w wymiarze próby zmieszczenia się w dostępnym przewidywalnym czasie) poszukiwanie specjalistów na całym świecie. Tu – pojawia się i znika, wchodzi w stadia, wciąga czytelnika swoją dosłownością i realnie wertykalizowanym zagrożeniem nieuniknionego. Tu – jest człowiecze dotykalnie i narastająco. Bohater zachowuje jednak pewną dozę spokoju i dystansu, przez co nie zamęcza czytelnika egzaltacją i spodziewaną niebawem stratą. O nie. *Otruty kwiatem!* Właśnie tak to należy traktować. Nie tylko niespodziewane naturalne piękno, ale i pewien (bardzo przewrotny) surrealistyczny realizm sytuacji. Wszystko tu raczej

kwitnie, zakwita, niż więdnie i usycha.

Tam (Kiedyś). Książka nie byłaby tak ciekawa, gdyby nie barwność, złożoność i piętrowość jej, wydawałoby się, drugiego planu. Samo umieranie, nawet tak zaskakujące, nie jest w dzisiejszej kulturze atrakcyjnym tematem. Okazuje się, że warto je nałożyć na inne umierania i inne życia. Zobiektywizować. Za to wędrówki po niej samej, po dzisiejszej kulturze i jej źródłach, a także po swoich osobistych doświadczeniach z nią i z tak zwanym światem, są ciekawe jak najbardziej. I tak drugi plan staje równoważnym, a nawet wysuwa przed swoje konstrukcyjne umocowanie. Rozrasta się. Pęcznieje. Puchnie. Wychodzi od Miłosza i Herberta, ale raczej bardziej od postaci, niż ich dzieła. Pojawiają się miejsca, w których miały miejsce epizody w ich życiu. I w niektórych z tych miejsc pojawia się nasz bohater. Ale – przewrotnie, a jakże – ważniejsze są inne miejsca, w których dotarła do niego wiadomość o ich śmierci. Vence. Gombrowiczowskie Vence. Hotel na Antón Martín. Pojawia się tu przemyślna gra z ich poetykami i z samym czasem. Gra na polu znaczeń i w warstwie budowlanej. Bo w tej książce chce się mówić językiem adekwatnym. Nie własnym, tylko inżyniersko dopasowanym do zadań. Realizacja odbywa się na zasadzie ustanowienia języka na pozycjach precyzyjnej (choć jak najbardziej literackiej) komunikatywności (bo ważniejsze od tego, jak się mówi tak w ogóle, jest co się mówi i jak to, akurat to, zostaje powiedziane), by pozwolić mu dryfować (narastać aż

do zwieńczenia w ostatniej Pieśni) w jawny (i bardzo udany) eksperyment formalny w brzmieniach postashberowskich, na wskroś nowoczesnych. Ten eklektyzm idzie dalej. Widać go świetnie w wątkach muzycznych, gdzie jawne zainteresowanie bohatera wykonaniami najlepszych orkiestr symfonicznych miesza się z posłuchiwaniem Toma Waitsa (w dodatku wczesnego! czyli tego znacznie mniej wyrafinowanego) lub cytowaniem Lecha Janerki (również wczesnego, punkowego, z czasów Klausa Mitffocha). Także doświadczenia wysokie miesza się tu z niskimi, co pozwala uchylać się w chwilach nadmiernego patosu i umożliwia czytelnikowi pozostawać wciąż po tej samej (naturalnej) stronie książki, co jej bohater. Bohater bowiem ani przez chwilę nie stara się być *wielkim poetą*. Tu się ani przez monet nie myli poezji z poetyckością. Osoba mówiąca w wierszu (zupełnie nie jak świadomy swoich środków i ich możliwości jej autor) ani przez moment nie stoi ponad książką. Pozycja autora i pozycja mówienia, to są różne płaszczyzny, co wcale nie jest takie częste we współczesnej polskiej poezji. Może dlatego książka daje się czytać tak naturalnie, tak nieliteracko. Jako swoisty zapis intuicji, pamięci i łączenia skojarzeń. To jest duży walor tej książki. Czytelnik ani przez chwilę nie jest zmuszony do szukania drzwi w murze oddzielającym go od niej, bo nie ma żadnego muru. Są przestrzenie, z wprawą napisanie przestrzenie, nasze, północne (Polska jako kraj drzew), i jak się okazuje, nasze południowe. Bo w tej książce wszystko jest nasze, czytelników, czytamy i mamy.

Ale to wcale nie znaczy, że książka nie zadowoli czytelnika zaawansowanego. Nawet dość przemyślne sposoby na używanie cytatów i kryptocytatów (Eliot, Auden, Miłosz) nie zaburzają toku potoczystej i pełnej satysfakcji lektury. Wzbogacają ją tylko i pozwalają mnożyć percepcyjne plany. Idiomy z hiszpańskiego (w spolszczeniu siłą rzeczy nieco zmodyfikowane), brzmią tu jak wdzięcznie użyte cytaty. Na przykład „Cały czas świata należy do mnie". Pojawiają się momenty autorecenzji („Nie potrafię już mówić ciemniej"). Stare motywy (choćby ten Schopenhauerowski: *Czy to nie szaleństwo wierzyć w istnienie / świata przed naszym urodzeniem?*) z gracją poddawane są udanemu liftingowi, do czego przecież literatura sprowadza się od dziesięcioleci. Słynna *smuga cienia* dostaje nową, mniej rozpaczliwą twarz (*Skąd to niewiarygodne / przywiązanie do rysów własnej twarzy, z chwili, kiedy się miało dziewiętnaście lat?*). Wszystko, włącznie ze śmiercią, jest relatywizowane. Nawet jedno zdanie (*Ile kosztuje słowo do Polski?*), zaczerpnięte z jakiegoś zabytkowego przewodnika z czasów przedmailowych, z czasów telegramu, pojawia się raz w brzmieniu wysokim, raz w niskim, w funkcji fanfary lub w dźwięcznej funkcji wentyla bezpieczeństwa. Odwracane są nawet nowsze, niewytarte jeszcze motywy, jak choćby ten (z Sosnowskiego) z człowiekiem budzącym się na krze w delcie u samego ujścia wielkiej rzeki, gdzie tym razem do rzeki się wpływa z otwartego morza, i to wpływa nie byle co, tylko ciało Brodskiego (choć można też domniemywać, że to ciało Petrarki) wymyte z (spod?) cmentarza

usytuowanego na włoskiej wysepce. Również same obserwacje są relatywizowane, opisy urokliwych obrazków (*z pewnością ktoś powiedział to przed tobą*). Nawet sny idą w wielu planach, w części po polsku i w części po hiszpańsku. A w języku, korzystającego z prostych konstrukcji i używającego słów w ich pierwszym znaczeniu, dochodzi się do zagmatwań (czyli przewrotnie, uproszczeń): *Czy skowyt to jedyny sposób, by powiedzieć coś własny mi słowami?*

„Oleander" to książka, która cieszy. Jej autor zapewne zostanie wpisany w szereg poetów klasycyzujących, ale to mu nie powinno zaszkodzić, gdyż jego klasycyzowanie polega głównie na świadomym używaniu zastanych środków w celach z gruntu nowoczesnych. A tradycja, z której czerpie, jest bardzo szeroka.

Marcin Kurek

Oleander (fragment)

Będzie tak samo: dwie topole, lichy

rdest i żywotnik przy murze, skrzypiąca

furtka, rdza. Jak to się stało,

jak doszło do tego, że leżę teraz

martwy na podłodze? Martwy?

Ale czy można umrzeć

w równie głupi sposób: otruty wodą

z plastikowej butelki, do której wczoraj

wstawiono uciętą gałązkę?

Jest koniec października, deszcz

pada od trzech dni. Słucham adagia

z dziewiątej Brucknera,

a potem podchodzę do okna

i w tej samej chwili granatowy boeing

i połyskliwa sroka krzyżują swój lot

na niebie w kolorze brudnego lukru.

A co pokażemy, sroczko?

Wszystko zaczęło się w tamtą sobotę,

kiedy przyszła wiadomość

o śmierci Czesława Miłosza,

a ty siedziałeś na ławce

w Vence patrząc, jak Z. huśta się

na drewnianym koniu, a platany

na skwerze zrzucają skórę

aż do kości.

Kilka lat wcześniej zaskoczyło cię

inne, zapowiedziane odejście.

Był wtorek, od kilku dni

kobiety pod kościołem

wieszczyły śmierć największego

Polaka, a M. zdjęta przepowiednią

modliła się za papieża,

który miał jeszcze przeżyć

prawie siedem lat.

Tego dnia, w pokoju na ósmym piętrze,

wśród półek z książkami,

obok stosu niebieskich teczek

opasujących kserokopie

gromadzone miesiącami w tanim hotelu

na Antón Martín,

obudziłeś się o siódmej i pamiętając

o proroctwie kobiet włączyłeś radio,

które podało, że nad ranem

w Warszawie umarł

Zbigniew Herbert.

„Herbert nie żyje?” zapytali jednocześnie

D. i T., kiedy dwa tygodnie później

opowiedziałeś im tę historię,

a których w podróży nad Rodan

wiadomość ta nie odnalazła.

Gdy po siedmiu latach w parku w Vence

zastała cię wieść o śmierci Czesława

Miłosza pomyślałeś, że ktoś zażartował

z niego i pozwolił zasmakować

nowego stulecia. Ale kto już wkrótce

miał zażartować z ciebie?

[…]

Nie pamiętam już, komu z nas przyszło

na myśl zabrać ze sobą gałązkę,

która miała przetrwać najdłuższą

podróż, a potem służyć za widzialny dowód

na istnienie południa.

W ostatni wieczór po zmierzchu zeszliśmy

do ogrodu, żeby dotknąć

rozłogów i pędów (o, rozmarynie! oberżyno!)

i wybrać najsilniejszy z nich: oszalały krzew,

który rozkładał długie łodygi

wokół obejścia i właśnie zakwitał

na tak wielu skwerach, trawnikach i rondach,

poboczach dróg i parkingów po wszystkich

stronach morza.

Witkę uciętą na wysokości wzroku

– ciemnozielone liście

i kilka kwiatów o zapachu wanilii –

J. włożyła do plastikowej butelki

napełnionej wodą i wciśniętej rano

pomiędzy bagaże, garść kamieni

zabranych z plaży i niewielką kontrabandę

(panowie Gigondas i Vacqueyras

lubią podróżować razem).

Wyruszyliśmy przed świtem, żeby

jeszcze w połowie dnia okrążyć Alpy

i o północy położyć się w chłodnej

pościeli. Ciepła noc, reflektory w mroku,

dalekie światła domów na wzgórzach,

nazwy obiecujące długie pożegnanie:

Villefranche, Beaulieu, Eze

(*Sehr langsam und noch zurückhaltend*)

i w końcu skała Tropaeum Alpinum,

o której Wergili powiada w *Czyśćcu*,

że bez skrzydeł nie sposób

postawić tam stopy, a Pliniusz Starszy

w *Historii* wymienia czterdzieści pięć

liguryjskich plemion, których klęskę

z ręki Oktawiana Augusta sławi pomnik.

Życie tamtych pada cieniem na żywoty

siedzących wysoko.

A więc, Imperator Caesar Divi filius Augustus,

światło i sól, o świcie i nagle

żegnam was, żegnam, żegnam!

Poemat „Oleander” – mp3:

https://www.dropbox.com/sh/kwgs0dfdb4je6vl/-AACJnHfCoMqtfGO5etSjwTPla?dl=0

Marcin Kurek (ur. 1970), poeta, eseista, tłumacz. Ukończył filologię hiszpańską na Uniwersytecie Wrocławskim i do dziś pracuje tam, prowadząc zajęcia z literatury hispanoamerykańskiej, przekładów i twórczego pisania. Jako poeta i tłumacz poezji opublikował siedem książek. Jego przekład „62 wierszy” katalońskiego poety Joana Brossy został wyróżniony Nagrodą „Literatury na Świecie” (2006). W 2010 r. nakładem Zeszytów Literackich ukazał się jego poemat „Oleander”, za który otrzymał Nagrodę im. Kościelskich i nominację do Nagrody Silesius. Całość poematu ukazała się w Czechach (Wydawnictwo Triada) i w Hiszpanii (Bartleby Editores), zaś jego fragmenty przełożono na francuski, rosyjski, słowacki, ukraiński i litewski.

***Jacek Bierut** (ur. 1964) – poeta, prozaik, krytyk literacki. Absolwent*

polonistyki UMCS, laureat m.in. nagród im. Kazimiery Iłłakowiczówny i Fundacji Kultury. Mieszka we Wrocławiu. Tekst ukazał się w miesięczniku „Akcent” (1/2011) oraz w książce „Rozkład jazdy. Dwadzieścia lat literatury Dolnego Śląska po 1989 roku” (2012).

O rodzinie Kościelskich i nagrodzie na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/koscielscy-i-ich-dzielo/

Marcin Kurek – Wielkie Nocne Czytanie: fragment „Oleandra”:

Adam Fiala – wiersze i rysunki

Adam Fiala

Adam Fiala od czasu studiów pasjonował się prawem międzynarodowym, stąd jego twórczość nasiąknięta jest polityką.

Od lat zajmuje się literaturą, sztuką oraz muzyką (modern jazz, piosenka). Jeszcze w gimnazjum uczył się gry na fortepianie, a potem uczestniczył w studenckim ruchu kabaretowym. Pisząc latami aforyzmy nabrał oszczędności i klarowności języka. Przed stanem wojennym był popularnym autorem wielu książek prozatorskich, stan wojenny przeciął jego życie na pół. Nie czuje do nikogo urazy, lubi Australię, gdzie mieszka od wielu lat i dobrze się w tym kraju czuje. Jego wiersze są nietypowe, o bardzo indywidualnej tematyce i spojrzeniu, są wierszowanymi mini nowelami.

Piłki i Olimpiady

Mam awersje

do piłek

owszem

Rys. Adam Fiala

gdy Olimpiada

nadejdzie

obejrzę trójskok

kłusowania

czyli biegi

i kaczkującą dreptaninę

czyli chód sportowy

ale przerzucam kanał

gdy zobaczę piłkę

piłki są różnej

wielkości

od wielkich

do dziwnych ćwiczeń

gimnastycznych

po nożne

ręczne

tenisowe

cricketowe

golfowe

ale jest jedna

którą toleruję

biała piłeczka

do ping ponga

Olimpijskie kosiarki

Od Olimpiady w Sydney

wiele się zmieniło

Rys. Adam Fiala

otwierająca uroczystość

zadziwiała świat

kosiarkami do trawy

obecnie

coraz rzadziej słyszymy

odgłosy kosiarek

bo z wodą kłopoty

trawniki

wysypują żwirem

lub czipsami

z twardego drzewa

obawiam się

że w czasie kolejnej Olimpiady

(do trzech razy sztuka)

w Brisbane

zabraknie w ogóle kosiarek

Pytanie

Pytanie zadane

przez przypadkowego

rozmówcę na ulicy

Rys. Adam Fiala

“skąd pochodzisz”

jest zawsze

kłopotliwe

zastanawiam się

czy odpowiedzieć prawdę

czy coś skręcić

ale myślę

że może być

jeszcze bardziej

kłopotliwa odpowiedź

na pytanie

“przybyszu

co zrobiłeś

naprawdę dobrego

dla twego

nowego kraju”

na szczęście

o to nikt nie pyta

Kadłub wieloryba i podręcznik

Na piękną plażę w Perth

Zachodnia Australia

fala wyrzuciła

niezbyt piękny

kadłub

martwego młodego

wieloryba

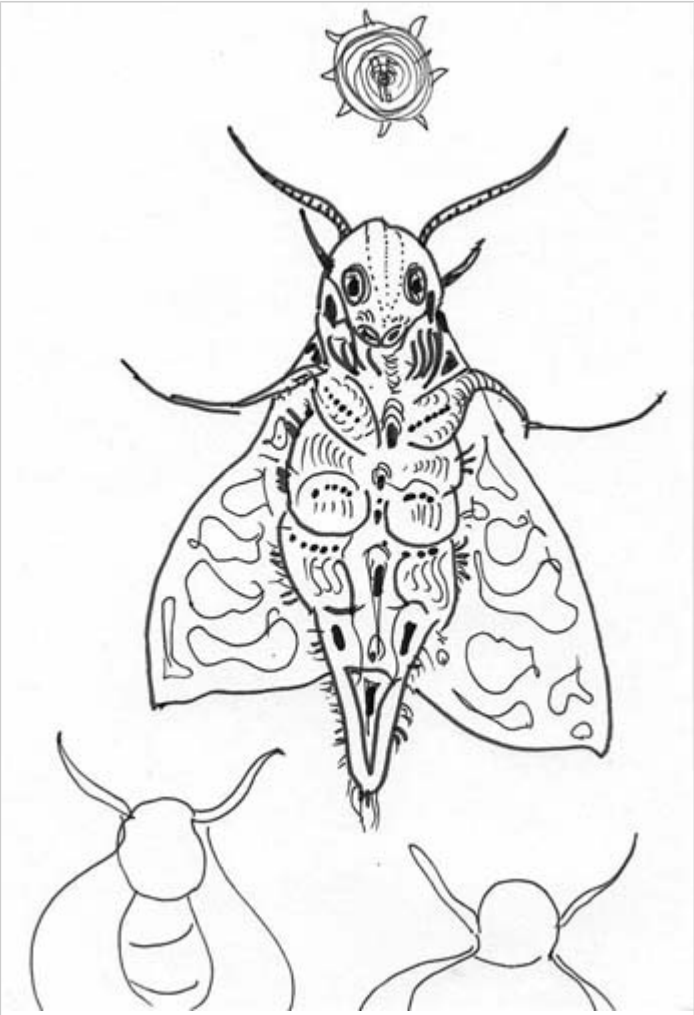

Rys. Adam Fiala

ludzie jak zwykle

się zgromadzili

kadłub odgrodzono

policyjnym pasem

w niebieską kratkę

potem przyjechał dźwig

i załadował kadłub

na traka

pan z bródką zauważył

“zamiast wrzucać

to do dołu

odholujcie łodzią

w głąb Oceanu

bo to naturalne

pożywienie rekinów”

ale nikt nie słuchał

człowieka z tłumu

profesjonaliści

posługiwali się

manualami

które przewidywały

każdą sytuację

Galeria

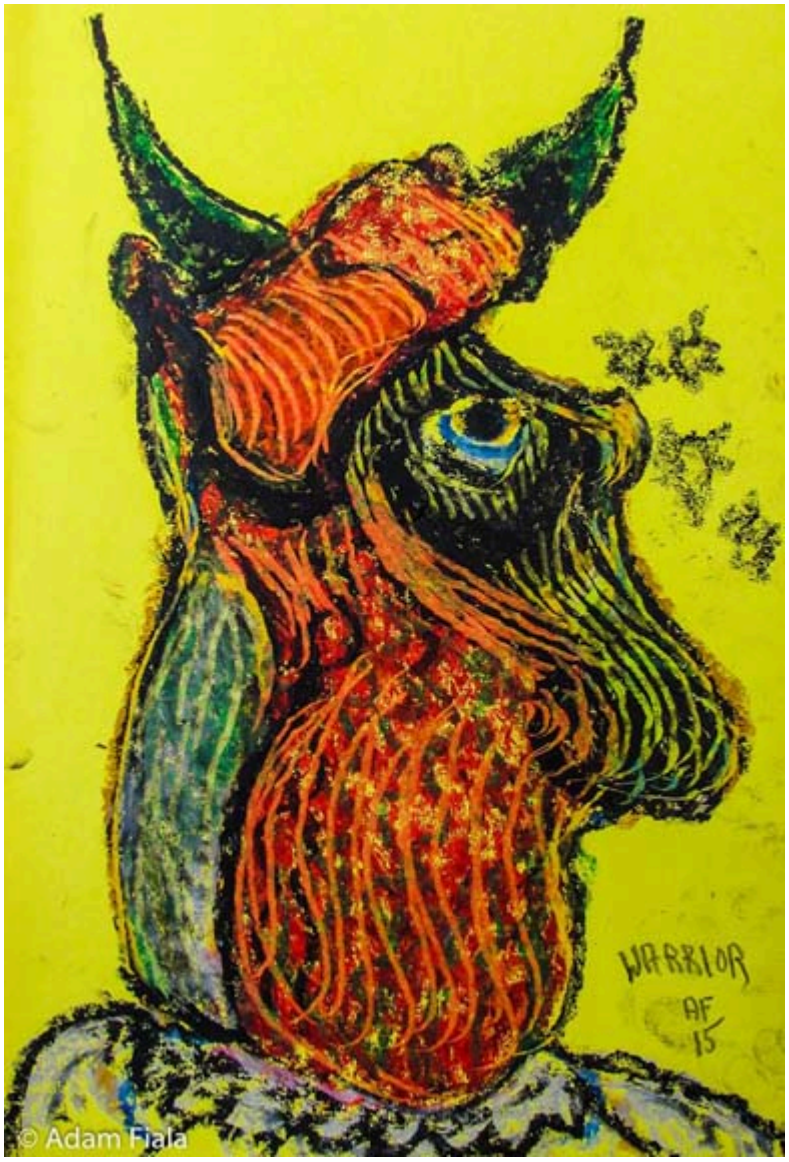
WARRIOR
AF
15
© Adam Fiala

AF
11
© Adam Fiala

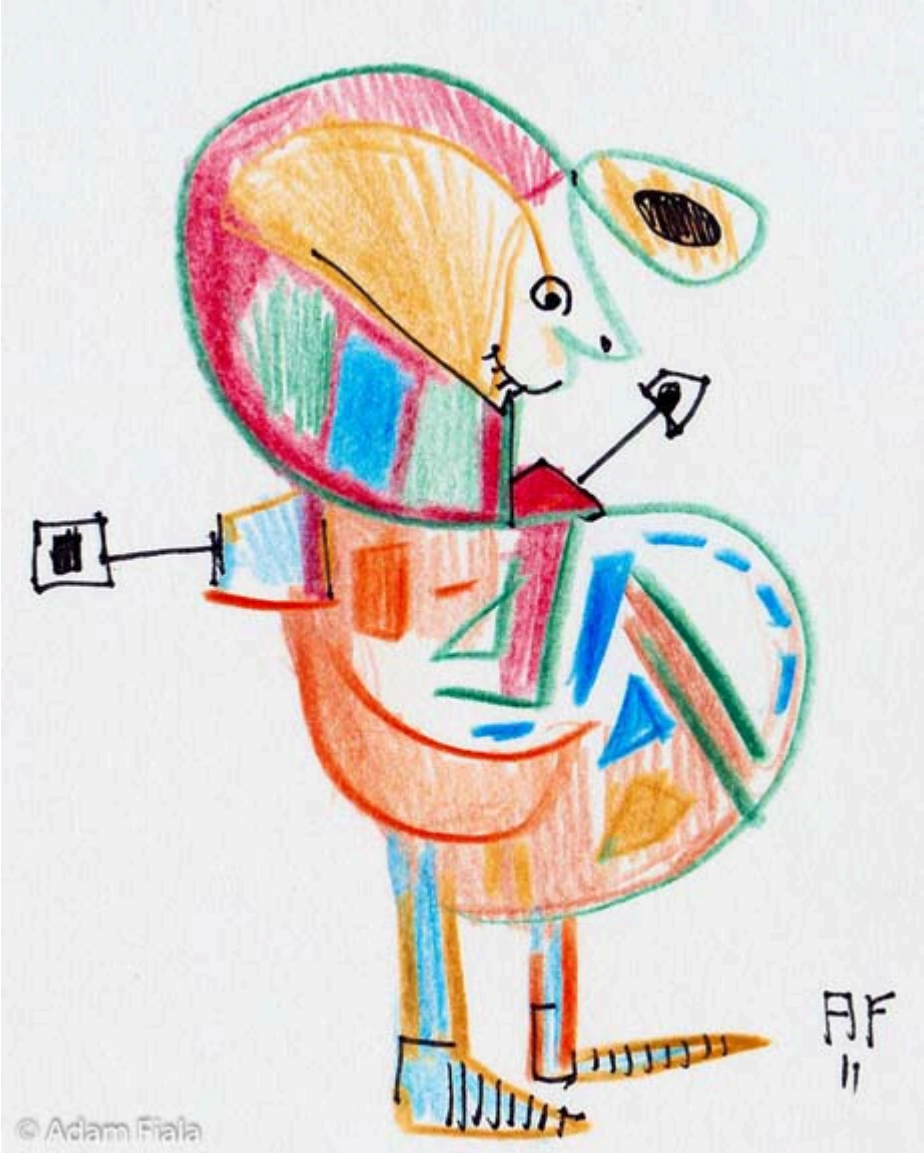

Strona Anny, Adama i Andrzeja Fiali: http://www.fialaart.com/

Ziele nie szarzeje

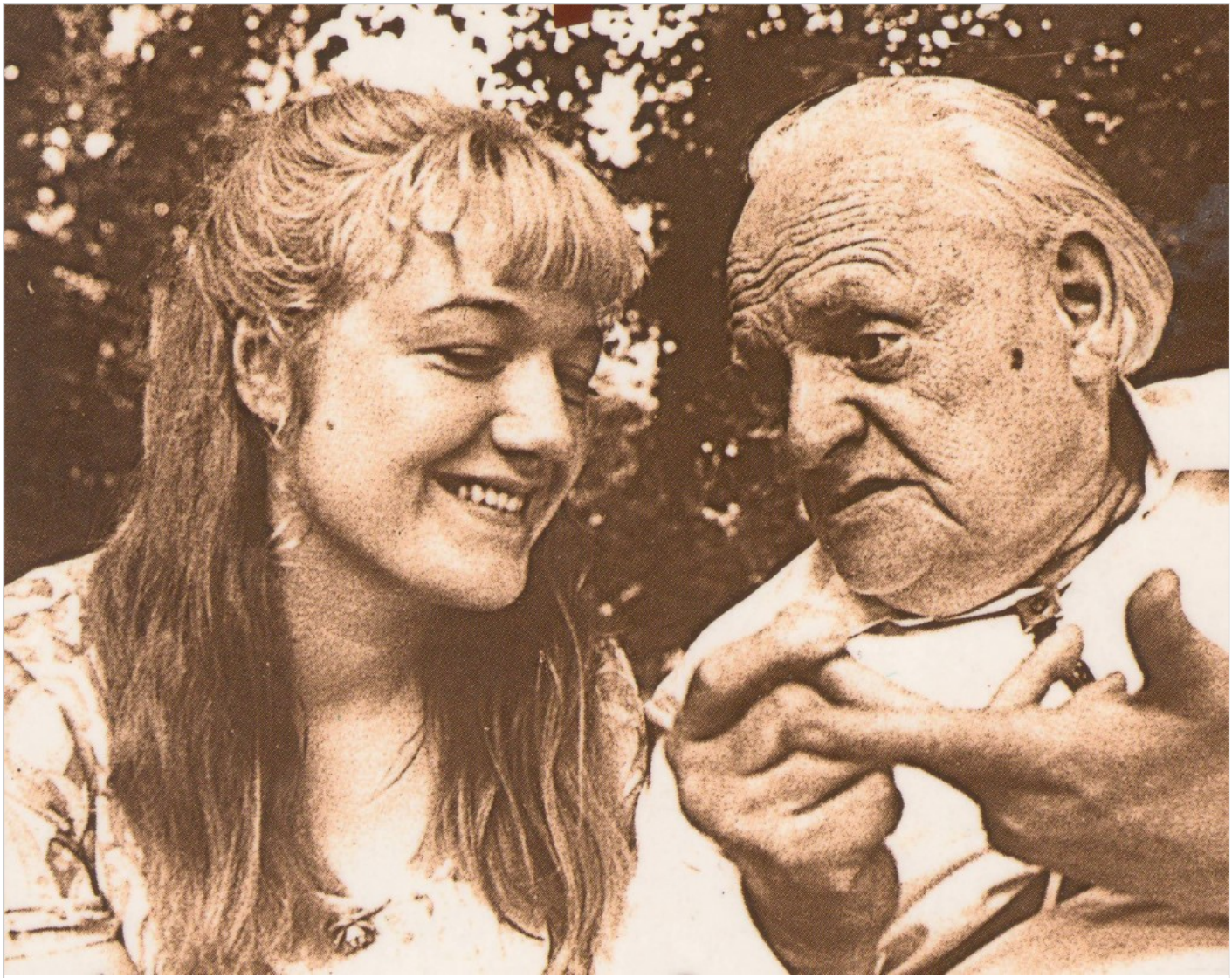

Oleńka Ziółkowska i Melchior Wańkowicz. Oleńka zastąpiła mu utracone córki.

Barbara Wachowicz

„Ziemia polska jest nasiąknięta zapachami, dźwiękami, błyskami splecionymi przez dzieje, których nikt nie wypleni… Poszukuję tematów bohaterskich o ludziach, którzy trwali i przetrwali”. Owe słowa ostatniego co tak pióro wodził – Melchiora Wańkowicza można także uczynić mottem twórczości Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, świetnej asystentki i sekretarki autora „Ziela na kraterze”, którą wszyscy przyjaciele do grona których mam szczęście się zaliczać nazywają serdecznie Oleńką.

Oleńka. Serdeczność i ciepło, a zarazem żelazna dyscyplina, nieprawdopodobna pracowitość i precyzja działań. Blask, urok i czar, a zarazem bogactwo tematów, poszukiwań, odkryć. Laureatka wielu prestiżowych nagród, wśród których jest „Złoty Exilibris” Książnicy Pomorskiej, Medal Ignacego Jana Paderewskiego przyznany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Arts Award in the Literature Stanu Delaware… Autorka kilkudziesięciu rewelacyjnych książek poświęconych sławnym Polakom na emigracji, bohaterom Powstania Warszawskiego, a nade wszystko Melchiorowi Wańkowiczowi. Stypendystka wielu reprezentacyjnych fundacji – kanadyjskich, brytyjskich, amerykańskich. Doktor Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka współpracująca z czołowymi pismami polskimi, kanadyjskimi, amerykańskimi.

A była skromną studentką wydziału polonistyki Uniwersytetu

Łódzkiego.

„Świadomość istnienia Boga”

W jakim wyrosła domu? Ojciec – Henryk Ziółkowski herbu Korczak, Wielkopolanin, żołnierz 31.Pułku Strzelców Kaniowskich i działacz Obozu Wielkiej Polski, wierny miłośnik historii i literatury. Matka – Antonina z domu Laśkiewiczówna marzyła (jak napisze Oleńka w swojej autobiografii „Ulica Żółwiego Strumienia”) – żeby mieć córkę „która by się dobrze uczyła, miała ciekawy zawód, interesujące życie i aby poznała świat”. Wszystkie te marzenia matczyne miały się spełnić. Oleńka podaje swoją listę wdzięczności. Co zawdzięcza? „Mamie – ducha pobożności i dobroczynności. Ojcu (którego pamięci zadedykowała „Drugą bitwę o Monte Cassino”) – umiłowanie książek i wagę prawości człowieka. Braciom – poczucie bezpieczeństwa i to że zawsze może na nich liczyć. Synowi Tomkowi – tkliwość i odpowiedzialność. Melchiorowi Wańkowiczowi – zainteresowanie światem i ważność pracy”.

O swych latach dziecięcych Oleńka pisze: „Całe wspomnienie dzieciństwa to kościół. Już jako trzyletniej dziewczynce Mama wplatała mi we włosy białą kokardę, ubierała w białą sukienkę z falbankami, zawieszała koszyk z kwiatkami”. I tak mała dziewczyneczka szła w procesji Bożego Ciała. Dom żył obyczajem staropolskim, szlachetnym rytmem świąt. Boże Narodzenie to był

opłatek, uroczysta wigilia, pasterka w Łódzkim kościele Dobrego Pasterza. „Małej dziewczynce wydawało się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi” – wspomina Oleńka. Kiedy zwiedziła po raz pierwszy Betlejem opowiada: „Byłam bardzo przejęta odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się znajdując polskie akcenty w Palestynie, stacje Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła Świętego Piotra Rybaka wzniesionym w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrówki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie”. W dniu święta Trzech Króli matka Oleńki zakreślała kredą na drzwiach inicjały imion Kacper, Melchior i Baltazar, co miało uchronić dom od nieszczęścia.

Wielkanoc rozdzwoniona pieśnią Alleluja „obwieszczała światu cudowną nowinę o powstaniu z martwych Jezusa Chrystusa. Wydarzenie to jest esencją wiary wszystkich chrześcijan i leży ono u podstaw istnienia naszej religii. Radosny śpiew «Te Deum» – «Ciebie Boże wychwalamy»”. To ulubiona pieśń Oleńki do dziś. Jako dziewczynka wędrowała w pielgrzymce do Częstochowy. „Świadomość istnienia Boga jest silna we mnie i może to jest rodzajem łaski? Wiara, religia, obrządki kościelne – z tym rosłam”.

Rosła także na literaturze ojczystej. „Ojciec mawiał, że książki są czymś wielkim. Są życiem, sercem i centrum przemijającego czasu”. Przeżyła z braćmi prawdziwą „epokę Henryka Sienkiewicza” – „Z pałającymi policzkami i wstrzymanym oddechem całymi dniami czytałam przygody Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego. Moje koleżanki kochały się w chłopcach, ja kochałam się w bohaterach literackich”. Jej starszy brat otrzymał imiona Henryk Andrzej na cześć autora „Trylogii” i bohatera „Potopu”. Jej młodszy brat Krzysztof został ochrzczony na cześć Kolumba. Nie wiedzieli ilu odkryć w Ameryce dokona ich utalentowana siostra.

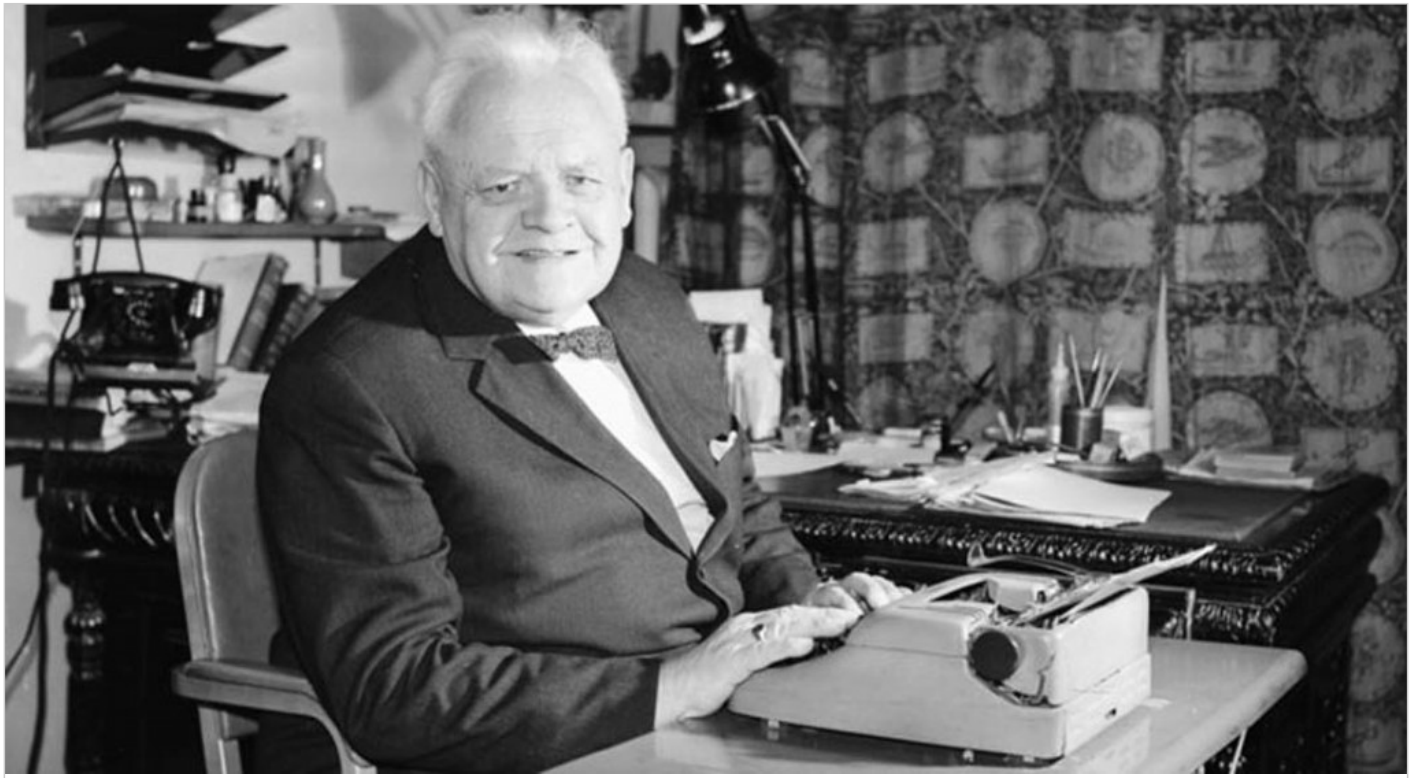

Melchior Wańkowicz przy pracy, Warszawa, 1963 r.. fot. PAP/CAF-Stanisław Dąbrowiecki

Najbliżej Wańkowicza

Wieczory u Pana Melchiora Wańkowicza na Puławskiej. Zapraszał nas – ku wielkiej radości – na stole zawsze stały przygotowane talerzyki dla ewentualnych gości. Był samotny. Utracił obie córki. Krysia zginęła w Powstaniu, Marta została w Ameryce i była jego wielkim rozczarowaniem. Odeszła z tego świata żona – legendarny, ukochany Królik.

I oto promienny kontrast – dom na Studenckiej, odblask Domeczku z „Ziela na kraterze" – barwy, uśmiech, Oleńka. To ona opromieniła swą osobowością, opieką i sercem ostatnie lata autora „Ziela na kraterze". Zgłosiła się do najpopularniejszego podówczas pisarza polskiego z drżeniem serca podjąwszy jako temat pracy magisterskiej jego twórczość. Pan Melchior przyjął studenteczkę z dużym dystansem. Zaznaczył, że ma 45 minut czasu i krytycznie zaczął sondować jej wiedzę. Oleńka przezornie miała ze sobą eseje jakie już poświęciła twórczości Wańkowicza. Z 45 minut zrobiły się godziny i tak to się zaczęło…

W swej pierwszej książce „Blisko Wańkowicza", która momentalnie podbiła czytelników, Oleńka opowiada o dniach przeżytych z Melchiorem Wańkowiczem wśród pachnących żywicą lasów nad Liwcem, w domu na Studenckiej, który pisarz zdołał zbudować na ostatnie lata swego życia. Odbywały się tam spotkania ze starymi przyjaciółmi, wyprawy na kiermasze

łączące, jak wspomni Oleńka, „wielką radość z wielkim utrudzeniem”. Zakres prac młodziutkiej magistrantki był olbrzymi – żmudne zbieranie materiałów, obowiązek adiustacji, nagrywania, przepisywania, porządkowania biblioteki, organizowania archiwum, czuwania nad obfitą korespondencją. W obu Wańkowiczowskich książkach, bo obok „Blisko Wańkowicza” pojawi się potężny tom „Na tropach Wańkowicza po latach”, są wedle autorki „próby poszukiwania prawdy o Wańkowiczu jako pisarzu i jako człowieku”. To znakomita, wnikliwa charakterystyka sławnego pisarza, u boku którego życie było intensywne i różnobarwne. Sędziwy autor „Strzępów epopei” opowiadał Oleńce o jego trudnościach i bólach, i jak je przezwyciężał. „Chciał pokazać, że życie nie jest szare ani różowe, że jest często takie, jakie mu się samemu kolor i sens nada”. Życie w aurze Wańkowicza było pełne kolorów. Żmudny trud Oleńki, jaki włożyła w ostatnią książkę mistrza „Karafka La Fontaine’a” został sowicie nagrodzony – Wańkowicz uroczyście zadedykował tę niezwykłą rozprawę między innymi na temat urody języka polskiego – „Mojej sekretarce magister Aleksandrze Ziółkowskiej”.

Pani magister w znakomitym rozdziale „Na końcu języka” analizuje „Karafkę” ów fascynujący „autokomentarz na temat własnej metody twórczej i warsztatu pisarskiego”. Wspaniałe bogactwo Wańkowiczowskiego słowotwórstwa przywołuje Oleńka cytując jego „inwokację do języka”. Pisze Wańkowicz:

„Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten niezauważalny, bo nieodłączny towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: słowem, tak siedzącym w celu, że wzruszenie wpływa na jego soczystość, słowem – patosem, że nagle staje się cisza, słowem – komikiem, który rozrzedził patos, (…) słowem z lamusa wydobytym jak zardzewiały brzeszczot, słowem – wspomnieniem pachnącym saszetkami z heliotropu”.

Jest nieskończenie wiele motywów Wańkowiczowskich analizowanych z pietyzmem przez Oleńkę. Rewelacją stały się jej odkrycia dokonane w Instytucie Pamięci Narodowej – donosy agentów Urzędu Bezpieczeństwa tropiących dosłownie każdy krok sławnego pisarza, relacja na temat procesu jaki wytoczono autorowi „Monte Cassino” w roku 1964 z artykułu „dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”. Akt oskarżenia zarzucał Wańkowiczowi, że przemycił za granicę maszynopis zawierający „fałszywe informacje oczerniające Polskę Ludową”. Po latach, kiedy w roku 1990 Sąd Najwyższy w procesie rehabilitacyjnym wydał wyrok uniewinniający, Oleńka dotarła do prokuratora, który brał udział w procesie Wańkowicza i przeprowadziła z nim pasjonujący wywiad. Ona także przytoczyła przykłady jak dalece pisarz hojnie wspierał działania polskiej opozycji politycznej. Oleńce zawdzięczamy także bezcenne dokumenty czym dla Polaków z Warmii i Mazur stała się książka „Na tropach Smętka”. Przywołała dedykację więźnia łagru, który napisał do

Wańkowicza, że jeden z towarzyszy jego niedoli „wykazał bezprzykładny hart ducha i szlachetność serca, dzieląc się ze mną pajdą razowego, na wagę złota cenionego chleba, pod warunkiem, iż po powrocie do Kraju ofiaruję mu pańską książkę «Na tropach Smętka»”. Córka jednego z bohaterów „Smętka” napisała Wańkowiczowi: „Kiedy Niemcy wyrzucili nas matka wzięła ze sobą tylko tę książkę. Umiałam ją niemal na pamięć. Ileż Panu zawdzięczam w tych latach nocy i pogardy. Ile siły i miłości Polski czerpałam z tej książki!”.

Na wieczorze Oleńki Ziółkowskiej-Boehm w warszawskiej księgarni podczas jej ostatniego pobytu w Polsce powiedziałam, że koniecznie powinna napisać jeszcze książkę o listach do Wańkowicza. (Pisarz w testamencie zostawił Oleńce całe swoje archiwum). W książce o nim cytuje niektóre z tych niezwykłych cimeliów poczynając od antologii nieprawdopodobnych adresów: „Melchior Wańkowicz. Warszawa” z dopiskami na kopertach: „(resztę powinien znać każdy warszawski listonosz)”, „Każde dziecko wskaże”, „Polski Pisarz Narodowy”, „Wielmożny Pan Melchior Wańkowicz – potężny utalentowany pisarz, myślący, mądry, zacny, Polak i człowiek!”.

Zacytowała Oleńka także wiersz, który ucieszył adresata:

Mistrzu Niepowtarzalny, Wirtuozie pióra,

Pejzażysto barw, światłocieni słów,

Kronikarzu doli człowieka,

Uśmiechów, radości i łez.

Nad Tobą czas się nie zamknie,

Pióro nie ostygnie,

Karafka nie wyschnie,

Ziele nie zszarzeje.

To wielka zasługa Oleńki, że barwy „Ziela” nie szarzeją. Dzięki jej niestrudzonym wysiłkom ukazała się korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną. Oleńka napisała to, że Wańkowicz „kochał kobiety jak kwiaty”. Cytuje też słowa profesora Tatarkiewicza z rozprawy „O szczęściu”, iż „szczęście mężczyzny polega na właściwej kobiecie”. Pani Zofia Wańkowiczowa, jako młoda matka, pisze: „W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia”. My, wierni czytelnicy „Ziela na kraterze”, niezłomnie w tę miłość wierzymy.

Finałowym akordem dzieł Oleńki poświęconych Wańkowiczowi jest jej świetna książka, która ukazała się po angielsku w Ameryce. Udało jej się uchwycić wszystkie cechy wspaniałej osobowości pisarza, który mówił o sobie: „Uprawiam pisarskie zielarstwo. Zbieram żywokost, rumianek, chodzę o świcie po rosie, jeszcze przy księżycu. To moje farby, kolory, zapachy. To zew krwi, pożywienia, tradycji…”.

Modlitwy Oleńki

Bohaterowie Wańkowicza otrzymali od Oleńki przedłużenie swego życia. Dowiedzieliśmy się dzięki jej książkom jaki był los Hubalczyków, takich jak Rodziewicz, Alicki, Szymański – bohaterowie rozdziału „W cieniu legendy Hubala”, z książki „Lepszy dzień nie przyszedł już”, bohaterowie bitwy o Monte Cassino, bohaterka Powstania Warszawskiego „Kaja od Radosława”, która przez 54 lata chroniła Hubalowy Krzyż Virtuti Militari. Wańkowicz opisując losy żołnierzy polskich po wojnie powiedział: „Ciężko jest żołnierzowi zamienić sztandary na szuflę, zwłaszcza obcą. Ciężko jest pisarzowi, który pisał jak sztandary łopoczą na wichrze, zejść do dławiącej w gardle szarości”. Opisując losy Hubalczyków Oleńka odnalazła wiele niezwykłych kolorów w tej szarości, do której zepchnął ich los. Jest w jej książkach cała plejada naszych rodaków, którzy zapisali najpiękniejsze karty życia w Polsce i poza jej granicami.

Szczęśliwa trójka – Oleńka z mężem Normanem i synem Tomkiem

Oleńka mieszka w Stanie Delaware ze swoim mężem Normanem Boehm (zm. w maju 2016 r., red.), kuzynem sławnej aktorki Ingrid Bergman. To bardzo szczęśliwe i udane małżeństwo. Miałam szansę obserwować Normana i wzruszać się jego opiekuńczością, tkliwością i adoracją jakie okazuje żonie. Jest także Oleńka szczęśliwą matką Tomka, który zrobił światową karierę jako wybitny fotograf i dziennikarz. Potrafi napisać na Dzień Matki: „Najukochańsza Mamo – kocham i dziękuję za wszystko”.

Oleńka ma swoją własną modlitwę: „Dzięki Ci Boże za życie, za zdrowie, za łaski, za Tomka, Rodziców, Rodzinę, Normana, dom rodzinny, za ludzi, którzy mnie kochali, którzy mi pomogli, za brak wojen i klęsk wokół mnie, za przyrodę, słońce, las, oceany, za dobre myśli, za to, że ból zapomniałam, że dane mi było kochać”…

I jest jeszcze jedna piękna modlitwa Oleńki, która zwiedziła dziesiątki krajów świata. Oto co pisze jadąc drogami Teksasu: „I przypominam sobie pola i lasy w Lipcach Reymontowskich, szum dojrzałego zboża, smak rozgrzanych jagód, jeżyn zrywanych w Radziejowicach, śpiew ptaków w Lesie Kabackim, ciszę i urok Parku Wilanowskiego, białe brzozy w Nieborowie, kształt drzew w Łazienkach, zapach bzu i jaśminu z ogrodu mojego dzieciństwa, zapach powietrza w Tatrach po deszczu”. To jest wielka tajemnica przemożnej polskości, której wiernym ambasadorem jest Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem organizowali Kościuszkowski wieczór Barbary Wachowicz w Filadelfii

Miesięcznik Polskiego Związku Kobiet Katolickich – „List do Pani” ,

Nr 7/8 (236) 2015, str. 28-30.

Wacław Iwaniuk – poeta, tłumacz, krytyk, któremu przyszło tworzyć poza ojczyzną.

Wacław Iwaniuk i Stefania Kossowska, fot. Archiwum Emigracji, Toruń.

Florian Śmieja – *Kiedy i gdzie postawiłeś swoje pierwsze kroki literackie?*

Wacław Iwaniuk – W Chełmie ukazała się „Pełnia czerwca” mój debiut tuż przed wyjazdem do podchorążówki do Równego w 1934 roku. Po powrocie pojechałem do Warszawy na studia. Przedtem posłałem Józefowi Czechowiczowi kilka wierszy, pewnie mu się podobały, bo wziął je do miesięcznika „Kultura i

Sztuka”, którego był redaktorem. W Warszawie przypomniałem mu się i zapytałem, co mam robić, czy zapisać się na polonistykę. Radził, że interesując się poezją, poznam literaturę, bym raczej zapisał się na coś bardziej praktycznego. Poszedłem więc na Wyższą Szkołę Dziennikarstwa, ale nie podobał mi się jej poziom. Przerzuciłem się na Wydział Prawno-Ekonomiczny, na zagadnienia emigracyjno-kolonialne oraz przedmioty zalecane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, jak historia dyplomacji, historia osadnictwa polskiego, ruchy kolonialne, sprawy pieniężne, statystyka. Masa przedmiotów. Zapisałem się licząc na ewentualne podróże w razie zatrudnienia. Myślałem, że Mickiewicz i Słowacki mogli pisać, bo podróżowali. A my nie podróżując, jak mamy pisać?

FS – *Kto z poetów był wtedy w Warszawie?*

WI – Czechowicz na stałe, Józef Łobodowski również. Był Stanisław Piętak, który niedługo potem otrzymał nagrodę, Bronisław Michalski, który popełnił samobójstwo, Był też Jerzy Zagórski, dojeżdżał Czesław Miłosz z Wilna. Do Czechowicza zaglądali Julian Przyboś, Jalu Kurek…

FS – *Co to znaczy do Czechowicza?*

WI – Do jego mieszkania. Awangarda krakowska była ciągle w sporze z Awangardą lubelską, bo ta była bardziej popularna. Trzy

były Awangardy: krakowska, lubelska i wileńska. Wileńska później przylgnęła do lubelskiej, dzięki Czechowiczowi, bo wszyscy oni się z nim komunikowali. Jego poetyka bardziej przemawiała do żagarystów, niż poetyka krakowska Przybosia i Tadeusza Peipera. Zresztą z obcowania i rozmów przed wojną z Miłoszem i Zagórskim wiem, że oni nie bardzo uznawali twórczość Przybosia i poetykę Peipera. Właściwie nikt Przybosia wtedy nie lubił, ani jego, ani jego wierszy, oprócz Jana Kotta i Zbigniewa Bieńkowskiego może. Skupialiśmy się przy piśmie „Zet", prawie że filozoficznym pod hasłem Hoene-Wrońskiego. Wydali je bracia Braunowie. Tam była kolumna poetów. Z tych czasów pamiętam Henryka Domińskiego. Drukowaliśmy również we lwowskich „Sygnałach".

Na Wyższej Szkole Dziennikarstwa pojawił się też Jerzy Pietrkiewicz ze swoją piękna czupryną. Nie wiem, czy ukończył, bo ciągle chorował. Od razu przygarnął go Stanisław Piasecki do „prosto z Mostu". Drukował też w „Polsce Zbrojnej", piśmie wojskowym, dobrym piśmie. Zgubiła go mocarstwowa obsesja i te propagitki. Tam go wymanewrował Jerzy Andrzejewski. Drukowałem też w „Okolicy Poetów", gdzie zapoznałem się z Janem Ożogiem i Czesławem Janczarskim, który po wojnie był wydawcą „Misia" i pisał bardzo dobre teksty dla dzieci.

Łobodowski żył blisko z Czechowiczem. Nie podtrzymywał stosunków z grupą lubelską. Przyznawał się do nas, ale nie

przychodził na spotkania, bo gdzieś tam pił z Konstantym Gałczyńskim. Szybko przygarnęły go „Wiadomości Literackie” po ogłoszeniu tych artykułów, w których wyrzekał się komunizmu. Zaatakowała go wówczas Wanda Wasilewska, nazwała go zdrajcą. On się już wtedy spotykał w Ziemiańskiej z Julianem Tuwimem, z Antonim Słonimskim czy Światopełkiem Karpińskim, potem dołączyła Zuzanna Ginczanka. Wtedy jeszcze Awangarda lubelska zwalczała „Wiadomości Literackie”, „Skamandra”, i ich poetykę, a on dołączył do nich i u nich drukował.

FS – *Niektórzy zarzucają Łobodowskiemu, że się jako poeta nie rozwijał.*

WI – Jego trzeba traktować inaczej. Wszyscy utrzymują, że powinien był zmienić swój sposób pisania, swoja poetykę. Bo Wierzyński się zmienił. Łobodowski jest ostatnim romantykiem tego typu, jakimi byli skamandryci. On do nich dołączył i stanowi ich ostatnie ogniwo. Zamyka ich okres poezji trochę romantyczny, trochę młodopolski, trochę niepodległościowy, gdzie jest rym i rytm. To jest historyczna rola Łobodowskiego, ze on ten okres zamyka. Dzięki lojalności wobec własnej poetyki, będzie miał odrębny rozdział w historii poezji polskiej. Łobodowski należy do tych innych skamandrytów, którzy się nie zmienili.

FS – *Czy Hiszpania wywarła wpływ na poezję Łobodowskiego?*

WI – Oczywiście. Jego „Kasydy i gazele” to duże osiągnięcie. Wprowadził do polskiej poezji nową poetykę orientalną. Przedtem tego nie było.

FS – *Mówimy o nim, jako o poecie, pominiemy jego dorobek prozatorski, jego powieści i artykuły.*

WI – Właśnie. Szkoda, że on się tak zaangażował politycznie. Te artykuły i polemiki go zgubiły. Gdyby był tylko poetą, pisałby inaczej i lepiej. A że musiał być wyrobnikiem dziennikarskim, to go spłyciło.

FS – *Na Emigracji z kim głównie utrzymywałeś kontakty?*

WI – Bardzo blisko żyłem z Tadeuszem Sułkowskim. Uważam jego poezję za duże osiągnięcie. Ma nie tylko własna poetykę, ale własny styl twórczy. Wypracował sobie swoisty styl, czego np. nie dokonał Miłosz. Uważam, że Miłosz stworzył pewny własny styl w Kraju, kiedy wydał „Trzy zimy”. Potem za granicą Miłosz wgłębił się w poetów amerykańskich, przejął ich styl i sposób pisania począwszy od Walta Whitmana po Jeffersa. Miłosz teraz naśladuje, no naśladuje siebie, ale stylem tych nowo poznanych poetów amerykańskich. Własnego stylu nie stworzył.

FS – *Sułkowski był samotnikiem. Bardzo trudno tworzył i nie wydawał. Dopiero po jego śmierci wyszły dwa szczupłe zbiory*

poezji.

WI – „Dom złoty” to jego własna poetyka, „Tarcza” to wybitny poemat. W życiu mu się nie powiodło. Kiedy został administratorem Domu Pisarza na Finchley w Londynie, to w praktyce był sprzątaczem, na którym wyżywały się żony innych lokatorów. „Panie Tadeuszu, to trzeba zmyć, to trzeba usunąć. A co, kuchnia jeszcze nie sprzątnięta?” One wchodziły jak wielkie panie, bo ich mężom się lepiej wiodło. To go bardzo przygnębiało. Dlatego, gdy wyjeżdżałem do Kanady, chciał bym mu tam znalazł jakieś miejsce. Ale ja wyjechałem do dalekiej Alberty, gdzie był śnieg i mrozy. Posyłałem mu paczki, ale nie było mowy o znalezieniu czegoś dla niego, bo ja sam chciałem stamtąd wyjechać.

FS – *To był taki szczodry brat-łata. Innym pomagał, a sam trzymał się skromnie na boku, zawsze uśmiechnięty, choć po cichu marzący o jakimś godniejszym formacie życia. Polecał innych, sam się nie dopominał. Umarł za wcześnie. Pewnie z beznadziei…*

WI – Całe szczęście, że jego poezja nie została zapomniana. „Twórczość” zamieściła niedawno szereg jego wierszy. Ale ten kontakt z Marią Dąbrowską, którym się chlubił, był raczej kurtuazyjny.

FS – *Znałeś Bronisława Przyłuskiego?*

WI – To był oryginalny i samorodny talent, tylko wojsko, zawodowa służba wojskowa go znarowiła. Bo stwarza szablony ludzi. Będąc oficerem zawodowym za bardzo ulegał tym szablonom. To zaszkodziło jego poezji. Nie był sobą, nie był cywilem. Ale miał swój awangardowy styl.

FS – *Opowiadał mi kiedyś – nieraz odwiedzałem go w tym szpitalu psychiatrycznym, gdzie pracował – że napisał zbiór wierszy, nie wiem o który dokładnie chodzi, i posłał go do wglądu Stanisławowi Balińskiemu. Ten długo te wiersze przetrzymywał, aż wreszcie mu je odesłał przepisane na modłę skamandrycką…*

WI – No tak. To był Baliński.

FS – *Jednym słowem, wiersze dobre, ale trzeba koniecznie w innej konwencji.*

WI – Baliński tkwił w poetyce Skamandra aż do przesady, a ponadto on nie bardzo się orientował w innych poetykach, nie akceptował innych. Wierzyński miał jednak bardziej otwarty umysł, jeśli chodzi o poezję.

FS – *Na wyróżnienie zasługuje Czesław Bednarczyk.*

WI – Cieszyłem się bardzo z poznania Bednarczyka, bo to jest dobry poeta i ma interesujące osiągnięcia. Ale twarde życie emigracyjne wszystkich nas wykoślawia i ogranicza.

FS – *Kiedyś będą pisali na temat wpływu warunków emigracyjnych na twórczość pisarzy. Co możemy na ten temat powiedzieć? Wspominaliśmy o tym nieco mówiąc o Łobodowskim.*

WI – Gdyby nie było tak trudno żyć na Emigracji, to można by było np. zająć się lekturą. Wielkie osiągnięcia w naszym czasie ma poezja grecka, kopalnia talentów jest poezja amerykańska czy poezja krajów Ameryki Łacińskiej. Gdyby np. Łobodowski był się wczytał w podobną lekturę, to może byłby uciekł od tej nostalgicznej poetyki, a pisałby bardziej rzeczowo. Inni poeci też byli zbyt zajęci. Myślę o sobie. Jak pracowałem w rzeźni, to czy mogłem myśleć o tym, co czytać? Czasu nie było. Potem, kiedy już pracowałem w magistracie, to jak zrobiłem notatkę w kolejce podziemnej, to już było dużo. Niekiedy udało się coś więcej napisać w czasie weekendu. Ale to nie można tak powiedzieć, że teraz napiszę, bo jest weekend…Przecież pisze się, kiedy się chce pisać. A wolnych momentów nie było dużo. Poeci mieli to wielkie nieszczęście, że zostając na Emigracji musieli starać się o pracę, o środki do życia, wchodzić w nowe środowisko, nawet formalnie. Bardziej szczęśliwi byli młodzi poeci „Kontynentów”. No i brakowało pism. Bo w Kraju mieli gdzie drukować.

FS – *Ponadto ciążyły na nich obowiązki obywatelskie…*

WI – One spadły na barki byłych żołnierzy, byłych walczących, byłych patriotów. Kraj był okupowany przez komunizm, trzeba było walczyć. Myśmy przy tym mieli raczej nostalgiczne poglądy zgodne z Wielką Emigracją. Idealizowaliśmy Polskę i Polaków.

FS – *Obecnie tyle się zdarzyło, tyle nadziało. Doczekaliśmy się otwarcia na Zachód, częściowej zmiany systemu, licznych wyjazdów, ciągłych pobytów pisarzy i poetów za granicą.*

WI – Nowo przybyli poeci, którzy wyrośli i wychowali się w Polsce Ludowej utrzymują własne kontakty, mają własne sposoby reagowania na różne rzeczy. Mimo, że się tu u nas pojawili, uważają się za innych emigrantów, niż my jesteśmy, żyją w tej atmosferze, którą sobie wytworzyli w Polsce. Tu są niby na wolności, ale utrzymują swój krąg, tylko ze sobą się kontaktują. Nie wsiąkli w emigracyjne środowisko.

FS – *A czy jest ono aż tak atrakcyjne?*

WI – Mogli zacząć od tego, żeby stać się częścią społeczną tego środowiska, mogli zapisać się do Związku Pisarzy, co zrobili bodajże Stanisław Barańczak i Zdzisław Najder. Mogliby wtedy przyjrzeć się tej Emigracji bliżej. Ale ich to właśnie nie obchodzi. Oni dalej żyją Polską i własnymi osiągnięciami, które maja za

granicą.

FS – *Mamy więc w jakimś sensie dwie poetyki, dwie społeczności pisarskie istniejące obok siebie, nie przenikające się nawzajem. A czy to, że nasza poezja obecnie bez większych trudności dociera do Kraju, ma znaczenie?*

WI – Będzie miało. Jeśli chodzi o same zdobycze poetyckie, to trudno powiedzieć. Historia to dopiero oceni. Czy w Smieji wierszach były takie elementy, których nie było w Polsce, czy w Iwaniuka poezji było to czy tamto… Ja myślę, że trzeba poczekać.

FS – *A nie stało się to wszystko jakby za późno?*

WI – Zdecyduje historia. Współcześni nie są sędziami. Dopiero czas właściwie oceni i odsieje. Bez emocji, bez uprzedzeń i kokieterii.

FS – *A jakie my zajmujemy stanowisko? Czy jest ono właściwe?*

WI – Czy ja wiem, czy poeta powinien zajmować stanowisko? W końcu poeta może zajmować stanowisko w stosunku do jakiejś innej poetyki, ma być samodzielny, niezależny i pisać. Czy to się komuś podoba, czy nie, czy go ktoś uzna czy nie uzna. Poeta zawsze jest samotny, czy pisze w Kraju, czy pisze na Emigracji. Tworzenie programów czy grup jest może nawet szkodliwe.

Pozostają nazwiska, pozostaje osobiste osiągnięcie. Ale społecznie poeci mogą i powinni się udzielać, bo taka aktywność jest również materiałem do twórczości.

Wacław Iwaniuk, Toronto, fot. Arch. Emigracji.

Wacław Iwaniuk, Toronto, fot. Arch. Emigracji.

FS – *Czy literatura tworzona na Emigracji jest dopełnieniem literatury krajowej?*

WI – Jest jakby nową częścią. Wniosła nowe pierwiastki do literatury w Kraju, zwłaszcza w okresie, gdy tam panował socrealizm. Literatura emigracyjna była tematycznie bardzo zróżnicowana. Pisał wtedy Baliński, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Jan Lechoń. Oni wnosili treściowo nowy pierwiastek twórczy do polskiej poezji w ogóle. Poszerzali krąg tematyczny.

FS – *Czy dal tych najmłodszych piszących, którzy wyjechali z Polski i tu się osiedlili, taki wyjazd jest szansą? Czy oni na Zachodzie znajda dobry klimat i podniety?*

WI – Jedyna szansa, to szansa materialna. Oni się tu nie rozwiną. Zagubią się, zwłaszcza jeżeli przyjeżdżają młodzi pisarze, nieuformowani, nie mający swojego dorobku literackiego. Oni przepadną w środowisku dla nich obcym. Chyba, że przejdą na pisanie w obcym języku.

FS – *A jak to się stało, że myśmy jednak przetrwali?*

WI – Przede wszystkim byliśmy w skupisku polskim. Ci, co przyjechali w starszym wieku, tworzyli dalej, jak przed wojną np. skamandryci. Oni nie mogli zginąć, bo mieli już swój własny dorobek np. Lechoń, Wierzyński czy Słonimski, kiedy był jeszcze na Emigracji. Poza tym, ta następna grupa też już była uformowana, mój rocznik, Pietrkiewicz, ja i inni z naszego rocznika. Jednak mieliśmy już debiuty w Polsce, drukowaliśmy w Polsce. Byliśmy o tyle zagubieni, że kontynuowaliśmy stylistykę, formę poetycką z Polski przed wojną. Poezja na świecie się zmieniła, ale myśmy nie mieli czasu tkwić w tej poezji, bo byliśmy albo w wojsku, albo w jakiejś organizacji. Nie mieliśmy takiej wolnej chwili, aby stać się tylko pisarzem na Emigracji. Zaś najmłodsza grupa „Kontynentów” mimo wszystko miała środowisko starszych. Chociaż była młoda i kończyła studia za

granicą, to miała oparcie w starym środowisku, wśród pisarzy już uformowanych. Jak się wyodrębnili, zresztą tylko częściowo, to nie stworzyli własnej poetyki, tak jak to zrobili, czy chcieli zrobić, młodzi w Polsce, czy w innych krajach. Poza tym ciążył też na nich pewien obowiązek społeczny, czy to przez kontakty z rodzicami, czy to przez kontakty dalsze z organizacjami polskimi emigracyjnymi. Ciążyli do pewnych zastanych już form społecznych a nawet literackich.

FS – *Nawet pewien antagonizm to jest kontakt. Można uformować się także w opozycji do czegoś istniejącego. Ci nowi za granicą maja niby trudniejszą sytuacje pisarską, ale równocześnie mają dość ścisły kontakt z Krajem.*

WI – Jeśli utrzymają ten kontakt z Polską, jeżeli będą pisarzami polskimi jak byli w Kraju, to się utrzymają na poziomie. Ale jeśli zechcą wejść w środowiska krajów, w których są, to muszą się zdecydować: albo będą pisać w języku kraju osiedlenia, albo będą pisać tylko w języku polskim. Bo w dwu językach pisać nie można. Weźmy np. Barańczaka, który był już uformowaną osobowością literacką, jak przyjechał do Stanów Zjednoczonych. W tej chwili jego wiersze przed emigracyjne pisane w Polsce są ciekawsze od wierszy pisanych teraz za granicą, mimo, że tematyka poszerzona, że pisze o Bostonie i rzeczywistości amerykańskiej. Ale jeśli chodzi o jego poetykę, to była ciekawa ta nowofalowa, przed emigracyjna.

FS – *To chyba wszystkim grozi, choć w Polsce niektórzy uważają, że np. Adam Zagajewski pisze w Paryżu jakby pełniej*.

WI – Czy ja wiem? Zagajewski pisze dużo i pisze spontanicznie. Ale jak kiedyś spojrzałem na jeden jego dość długi wiersz to pomyślałem: mógłbym wziąć ostatnie linie tego wiersza i dać na sam początek, pierwsze linie przenieść na sam koniec, mógłbym ze środka usunąć chyba jedną trzecią tych wierszy i pozostałby ten sam skutek. Dużo ładnych wersów a przecież wiersz, to jest taka budowa, że usunięcie kilku słów kładzie go. U niego można usuwać całe linijki, zwłaszcza w tych dużych poematach. To tak płynie ciurkiem…

FS – *Czy poezja ma społeczne znaczenie?*

WI – Akt twórczy jest wynikiem jakiegoś wewnętrznego impulsywnego przeżycia i wtedy się pisze nie myśląc o niczym, żeby zadowolić samego siebie. Wypowiedzieć to, co jest w nas. Nie myśli się wtedy ani o społeczeństwie, ani o środowisku. Ale ten akt twórczy jest zarazem społeczny. Czytelnik szuka pożytku dla siebie. Społeczne momenty wykrywa krytyka.

FS – *Czy to, co się obecnie dzieje w Polsce wpłynie na twórczość?*

WI – Oczywiście. Nawet ujawnienie się wszystkich pism

podziemnych poszerza horyzont i umożliwia intensywniejszą twórczość. Stworzy się większy popyt na literaturę w Polsce. Powiększy przymus twórczy. Więcej pisarzy będzie pisać, bo będą mieli większą możliwość druku.

FS – *Niektóre czasopisma oficjalnie upadną, bo będą inne pisma drukowane otwarcie. Ale będą i ujemne skutki…*

WI – Będzie większa kontrola. Nie będzie się wydawać tyle złych rzeczy, jak do tej pory się wydawało. Przez znajomość, przez stosunki i inne jeszcze wpływy ukazywały się książki, czy drukowane były rzeczy nie na poziomie. Teraz będzie większa kontrola artystyczna.

FS – *Normalny obieg i normalne życie literackie.*

WI – Przypuszczam, jeżeli utrzyma się politycznie ten standard jaki jest w tej chwili.

FS – *Bo z kolei literatura uwolni się od tych wszystkich świadczeń politycznych czy propagandowych.*

WI – To jest najważniejsze…

FS – *Ale i po drugiej stronie barykady nie będą musieli ustawicznie walczyć z komunizmem w wierszach…*

WI – A ponadto ci pisarze komunistyczni być może mają jakieś teksty, które można wydać normalnie, jeżeli mają wartość artystyczną. Możliwe jest, że np. Wojciech Żukrowski coś wspaniałego stworzy.

FS – *Pozostanie jedno niebezpieczeństwo: komercjalizacja. To co jest przeciętnym gustem, będzie dominować. Dużo tej miernej literatury może pojawić się na miejscu wyeliminowanej komunistycznej i propagandowej.*

Czy widzisz jakąś zasadniczą różnicę między naszą twórczością a tym, co pisze się w Kraju?

WI – Pisarz emigracyjny, jeżeli tworzy, to wyraża równocześnie środowisko, w którym żyje. Nasze środowiska emigracyjne są inne niż pisarzy krajowych. Ponadto mieli oni ten nakaz socrealizmu, a my go nie mieliśmy. Ale, jak powiedziałem już przedtem, Łobodowski mieszkając w Hiszpanii podjął nowy temat środowiskowy przybliżając poetykę arabsko-andaluzyjską. W Anglii, nawet z waszej grupy „Kontynentów" piszą o Londynie. My tu zawsze potrącamy o realia kanadyjskie, czego nie mogą robić twórcy krajowi.

FS – *Dodatkowym elementem sytuacji twórcy na Emigracji jest chyba większa samotność…*

WI – Pisarz jest zawsze samotny, czy on pisze w Kraju czy tu, czy pisze do druku, czy do szuflady. Jest zawsze samotny. W momencie, kiedy siada by wyrazić siebie, by zanotować własną myśl, wtedy tym bardziej jest samotny. I to jest dla pisarza najważniejsze. Atmosfera wyobcowania czy wyodrębnienia pogłębia się na Emigracji może bardziej. Niektórzy pisarze w Kraju też mówią, że są samotni, mimo, że piszą i drukują w Kraju. Samotność ma chyba różne stopnie, różne głębokości. Sam Różewicz pisząc wiersz „Dno", opisuje jak on spada, spada, aż wreszcie jest na takim dnie, że niczego nie widzi.

FS – *A więc co się liczy? Wierność sobie? Doskonalenie warsztatu? Praca nad językiem?*

WI – Język się zmienia. Może właśnie nasz język tutaj ocali pewne rzeczy, a nie w Kraju. Gramatyka się nie zmieniła, ale słownictwo się zmieniło.

FS – *Czy prasa w ogóle, w tym także prasa emigracyjna, jest pomocna twórczości?*

WI – Uważam, że nie. Teraz znowu powstały nowe pisma. Może one są pomocne pewnym nazwiskom czy pewnym grupom. Cóż może jednak pomóc nam prasa emigracyjna w Kanadzie? Usiądziemy i albo napiszemy wiersz, albo nie napiszemy. Czy on się potem ukaże w prasie czy nie, to nieważne.

FS – *Tak, ale z kolei nie będzie omówień poezji, jeśli zaniedbamy prasę…*

WI – To nie zmienia sprawy. Nie ma i tak omówień poezji, bo „kultura” czy „Zeszyty Literackie” czy kto tam jeszcze pozostał, nie bardzo te rzeczy śledzą. Nawet gdyby omawiali, to ci którzy piszą nie są przygotowani, aby tom poetycki krytycznie rozpracować. Powiedzą, że ukazał się. Jak autor należy do ich grupy, to pochwalą, jak nie należy, to nie pochwalą. Nie myślę, by byli krytycy na poziomie traktujący tomik jako zjawisko poetyckie. Barańczak tego nie robi, a mógłby to robić. Nawet w tej książce, którą wydała „Kultura”, on tylko swoja grupę widzi. Jeżeli kogoś innego dostrzega, to tylko piszącego tak, jak ich poetyka Nowej Fali. Pisał kiedyś o Marianie Czuchnowskim dlatego tylko, że ma te prozaizmy czyli zaczynał tak, jak oni zaczynali. Pisze o tym, co on lubi. Także Artur Sandauer. Kazimierz Wyka jeszcze pisał o wszystkich, robił rozbiór, jak powinien robić historyk literatury. Ale po nim już nie widać nikogo znaczniejszego. Piszą o swoich, albo o tych, którzy piszą tak jak oni uważają, jak powinni pisać.

FS – *To by wymagało zdrowego obiegu książki, energicznego życia literackiego…*

WI – Przede wszystkim wymagałoby wychowania jakiegoś nowego krytyka, takiego, jakim przed wojna był np. Wacław

Borowy czy Stanisław Brzozowski, choć on też miał swoje predylekcje. Oni z krytyki zrobili dział literacki, dział twórczy. A Karol Zawodziński poprzestał na Skamandrze nie uznając w ogóle Czechowicza.

FS – *Jesteś ze swojego dorobku poetyckiego zadowolony?*

WI – Właściwie, nie. Gdybym miał unieważnić coś z tego, co pisałem, unieważniłbym kilka tomików. Mnie się zdaje, że to co teraz napisałem, jest dla mnie wiele ciekawsze i bardziej interesujące niż dotychczasowa twórczość. Nawet te tomiki wydane przez „Kulturę", były wydane pod naciskiem społecznego, patriotycznego obowiązku pisania. Jest to jakaś wypowiedź wewnętrzna stylem, który już nie istnieje.

Mam w przygotowaniu tomik „Moje obłąkanie". Przypuszczam, że tam będą moje najlepsze rzeczy. Oprócz tego jest kilka wierszy, które poprzednio napisałem. Uważam, że dobry jest wiersz „Après le déluge". Jest w nim treść, jest zwięzły, dość ciekawym językiem napisany, ale nikt tego nie zauważył.

FS – *A które odpisałbyś na straty?*

WI – Całą twórczość przedwojenną. Połowę wierszy, które wydała „Kultura".

FS – *Ale czy można tak od razu pisać, jak u szczytu pracy twórczej? Może te stopnie są ważne, to wchodzenie na wyżynę? Bez nich nie byłoby tej dojrzałej formy. Krytycznie odnosisz się do dawnych wierszy. Zamiast mówić, że Cię nie zadawalają, czy nie warto by było przerobić je?*

WI – Ja wiem? Wydaje mi się, że nie. Każdy poeta myśli z przekąsem o swoich pierwocinach, o swoim debiucie. To jest naturalne. Uważam, że nie ma już co poprawiać. Te wiersze może ważne są dla badacza, dla historyka literatury. Ale dla mnie, dla poety, są mniej ważne.

FS – *A pomyślałeś o tym, żeby opracować własną antologię?*

WI – Ja bym to zrobił. Teraz w Polsce wydają wybory moich wierszy. I tam będą te wszystkie teksty, słabe i dobre.

FS – *Będzie to taki obszerny wybór informujący o całokształcie Twojej twórczości.*

WI – Mnie to nie zadawala. Wolałbym, aby ukazało się kilkanaście wierszy, ale te, które są poetycko dla mnie ważne. A wszystkie inne powinny być zapomniane.

FS – *Zaproponuj więc taką antologię, zrób własny wybór, uzasadnij i wyślij. Jerzy Niemojowski, dla przykładu, zawiózł*

antologię poezji emigracyjnej, z której ponoć wykluczył wszystkich poetów „Kontynentów”. Zrobił więc antologię bardzo osobistą.

WI – No to co to będzie za antologia!

FS – *Sadzę, że Twoje pokolenie miało sporo pomniejszych postaci, których wiersze nie ukazały się w żadnej poważniejszej antologii, choćby wymienić tylko takich poetów jak Jan Kowalik, Jan Leszcza, Janusz Wedow, Józef Żywina, Bolesław Kobrzyński czy Stefan Legeżyński. Kiedyś sam też myślałem o skomponowaniu takiej antologii poetów emigracyjnych średniej, a więc i Twojej generacji, antologii, czy właściwie, wobec braku możliwości druku, wyselekcjonowanej listy krytycznej. Sam taki schemat już wydał mi się ważny, jeden z pilnych dezyderatów, który przy sprzyjających warunkach mógłby zostać zrealizowany.*

Czy uważasz się za człowieka kontrowersyjnego?

WI – Nie wiem. Starałem się postępować tak, jak uważałem, że należy postępować. Czy to jest kontrowersyjność?

FS – *Znalazło to jakiś wyraz w Twojej poezji? Co Twoim zdaniem może uchodzić za szczególnie drażniące?*

WI – Nie uznaję wpływów środowiskowych. Nigdy nie powiem,

że przyjechałem tutaj do Kanady, żeby być częścią Polonii, żeby pisać dla Polonii. Byłem w organizacjach, ale uważałem te organizacje za polskie, a nie polonijne. Polonia, jako taka, nigdy mnie nie interesowała i nie interesuje.

FS – *Ja sądzę, że mamy tu do czynienia z problemem nomenklatury… Co w takim razie jest Twoim motorem napędowym? Dlaczego ciągle jeszcze piszesz, dlaczego ślęczysz nad papierem, zamiast leżeć gdzieś na plaży i opalać się, albo smażyć mięso i pić piwo, jak to robi lwia część naszych ziomków na tym kontynencie?*

WI – Pewnie ten jakiś wewnętrzny przymus. Każdy piszący ma przymus, by wyrazić siebie, by coś napisać.

FS – *Wyrazić siebie dla kogo? Czy Ty nie uważasz, że warunkiem zaistnienia utworu jest percepcja odbiorcza?*

WI – Przede wszystkim piszę dla siebie, dla literatury polskiej. Jestem ukontentowany, jeśli to co napiszę mnie zadawala, że to ma jakąś wartość artystyczną, poetycką.

FS – *Ale w jakim sensie Ciebie to może zadowolić? Czy dlatego, że zdołałeś jakąś myśl, która ciebie drążyła, jak mawiają dziś w Polsce, „adekwatnie wyartykułować”?*

WI – Że coś wniosłem do słownictwa, do poezji polskiej. Że ta linijka czy wiersz zostaną w poezji polskiej. A czy ktoś to pochwali albo zgani, to mi jest zupełnie obojętne.

FS – *Czy w ten sposób poznajesz siebie lepiej czy też jesteś medium, które przekazuje coś, czego nie potrafią inni?*

WI – Raczej to drugie. Że coś wnoszę do języka, co go poszerza i pogłębia, daje nową myśl.

FS – *To będzie więcej niż tylko język, może asocjacje, może wrażliwość?*

WI – Ostatnio napisałem taki wiersz „Droga". Przypomniała mi się ta droga, która prowadziła od dzierżawy mojego ojca pod Chełmem, jak się szło do miasta. I ta droga była taka ładna, rzeczywiście. ten wiersz się sam napisał właściwie.

FS – *Tak, tylko przez pięćdziesiąt lat go w sobie nosiłeś…*

WI – O to chodzi. Nawet go nie próbowałem jeszcze przepisać, ale wydaje mi się, że w momencie pisania wyraziłem tylko to, co we mnie było, a nie miałem na uwadze ani środowiska tutejszego, ani zaplecze społecznego, ani dotychczasowego mojego dorobku poetyckiego. Po prostu usiadłem i napisałem ten wiersz. Otwarła się jakaś komórka we mnie i jeszcze jeden utwór

wypłynął.

FS – *A czy można jakoś przygotować sobie taki moment, kiedy otwierają się komórki?*

WI – Ja nie wiem. Myślę, ze nie. Chyba są takie środki, narkotyki, pisarze zażywają środki pobudzające…

FS – *Nie miałem na myśli środków zewnętrznych. Czy potrafisz narzucić sobie taką dyscyplinę, jakiś intelektualny nawyk, który powoduje, że masz możność, taka potencję pisania, jeśli zaświta nagle jakaś myśl?*

WI – Sadzę, że to jest przymus. Warsztat twórczy. Jeżeli zmusisz się do tego, że w pewnych momentach usiądziesz i czytasz, poświęcasz się tylko pisaniu i literaturze, od tej i do tej godziny nie chcę mieć żadnych telefonów, żadnych kontaktów z nikim, poświęcam się własnym przyjemnościom. Poprawiasz coś czy czytasz i wtedy przychodzi ten przymus twórczy. Ja mam takie chwile. Przeważnie siedzę nad starymi tekstami i poprawiam. Wtedy przychodzi jakaś myśl, więc pisze wiersz.

FS – *Czy ten przymus twórczy to dawne natchnienie?*

WI – Czy ja wiem? Wątpię czy w naszym wieku można mówić o natchnieniu. Myślę, że przymus twórczy ładniej brzmi. Lektura

jest ważna. Miłosz napisał, że siedzi i czyta jakąś książkę i wtedy nachodzi go myśl napisania wiersza. Możliwe, że w ten sposób korzysta już z dorobku cudzego, ale trudno.

FS – *To byłby ten taki mechanizm zapalający. Nigdy nie wiadomo, co powoduje spięcie. A to, co pobudza, nie musi być nawet cegiełka tego, co powstanie.*

WI – Myślę, że najważniejsza jest niezbadana jeszcze przez naukę podświadomość. Zbieramy to wszystko, trzymamy, niezależnie od nas i nagle podświadomość pozwoli nam spojrzeć refleksyjnie w tę ciemnię i stamtąd wydobywamy to nowe. Powiedzmy matematyk może wtedy stworzyć jakąś teorię, filozof – jakąś myśl, a poeta – nowy wiersz. Jeżeli kiedyś rzeczywiście zbadana zostanie podświadomość, to ułatwiona będzie nawet twórczość literacka.

FS – *Chcesz powiedzieć, że przez jakiś mechanizm, przez jakąś chemię, można będzie dotrzeć świadomie do podświadomości i użytkować ją na jakimś polu z pewna dyscypliną.*

Czy Ty pisząc próbujesz technikę świadomie udoskonalić, zmieniać unowocześniać?

WI – Zmieniam, ale chyba nieświadomie. Po prostu powstaje jakiś nowy zlep…Inną technikę muszę wyrazić innym językiem.

Ale ten język nieustannie się zmienia…Jestem tego świadomy…Język jest niby ten sam, ale jakoś bardziej się zagęszcza, streszcza…Zdania staja się bardziej hermetyczne…I w tym języku zaczynam pisać. Naturalnie, nie robię tego krańcowo, nie piszę tak, jak Miron Białoszewski czy inni jeszcze eksperymentujący pisarze…

FS – *Nie martwi cię, ze siedzisz w Kanadzie i że język ten staje się jakiś specyficzny, że ktoś w Polsce przeczyta i oświadczy, ze tekst powstał poza granicami Kraju?*

WI – Jeżeli to wyczują, to moja wina. Ja siedzę w lekturze polskiej. Wydaje mi się, że siedząc i pracując tutaj, mam dom w Polsce, a nie w Kanadzie. Nie jest on na Emigracji. Jest na Emigracji dopiero, kiedy ludzie zaczną telefonować i opowiadać, co się dzieje. Z chwilą, kiedy czytam i piszę, to ten dom jest w Polsce a nie w Kanadzie, nie jest w Polonii, ale wśród Polaków w Polsce.

FS – *Żyjemy tu, a nie tam i nasze kontakty z Polakami z Kraju są ograniczone…*

WI – Naturalnie. Bo tych kontaktów z Polonią jest więcej. Ale przede wszystkim, lektura. Mamy dopływ książek i ta lektura oddziela nas od tego, co się dzieje tu, od tego języka polonijnego, martwego.

FS – *A czy z kolei nie zagraża nam puryzm językowy?*

WI – Możliwe, ale im też grozi zaśmiecenie języka. Wolę być purystą, wole już przesadną dbałość o poprawność, niż mieć te wszystkie naleciałości, które teraz są w Polsce, te wszystkie „kompatybilności” i ci „decydenci” używane nawet w poezji.

FS – *I tu i tam, wszystkim nam grozi to samo niebezpieczeństwo. Ale trudno, to już zależy od naszego wyczulenia, naszej kontroli i asymilacji języka polskiego. Od nas zależy, aby uniknąć przesadnego i puryzmu i nierozsądnego współczesnego makaronizowania.*

Naturalna tendencją każdego języka jest dążność do ekonomii, do skrótowości. Miejmy nadzieję, że ten mechanizm regulować będzie także rozwój języka polskiego i teraz i w przyszłości.

Można by dopatrzyć się w tym szansy dla poezji. Myślę, że należy wierzyć w naturalne tendencje obronne języka, w to coś, co przypomina instynkt samozachowawczy organizmu biologicznego. A gdyby jeszcze powstał mądry mecenat dla twórców, to perspektywy byłyby bardzo atrakcyjne…

WI – Ostrożnie, ostrożnie…Ja wolę być realistą…

Florian Śmieja, „Siedem rozmów o poezji”, Polski Fundusz

Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.

_____

Maria Kuncewiczowa – dwa listy do Wacława Iwaniuka:

1.

The Garden Cottage, Private Road 40, Wheatley Road, Old Westbury, Long Island.

20.X.55.

Drogi Panie,

mam nadzieję, że już doszły rąk Pana materiały prasowe, a także 2 książki, które już dość dawno temu „Rój" wysłał pod adresem Mary Schneiderowej: *„The Conspiracy of the Absent"* i *„The Forester"*.

Cieszę się, ze niedługo Pana zobaczę po tylu latach i będę mogła osobiście podziękować za jego wielką życzliwość i trudy w związku z moim przyjazdem do Toronto.

Ze swojej strony robię co mogę, żeby dobrze przygotować

odczyt. Przed chwilą wróciłam z N. Jorku gdzie przez 3 dni siedziałam kamieniem w bibliotece, czytając i odświeżając w pamięci wzruszenie Mickiewiczowskie. Ciągle jeszcze nie wiem jaki ma być temat odczytu na Uniwersytecie. Myślałam, że także o Mickiewiczu, tylko po angielsku. Chciałabym specjalnie zająć się Konradem Wallendrodem i Wallenrodyzmem jako zapowiedzią *double think'u* Orwellowskiego i Miłoszowego *Ketmanu*. Ale wolę, żeby tytuł nie był zacieśniony do szczegółowego tematu: wystarczy chyba *„On the subject of A. Mickiewicz"*.

Przemówienie rocznicowe chcę głównie oprzeć na *„Dziadach"* i przemianie Gustawa w Konrada, co jest przypomnieniem zawsze aktualnem, a szczególnie w dobie Freudowskiego rozwiązywania kompleksów. Proszę jednak nie myśleć, że na obchodzie listopadowym będę się zagłębiała w analizy psychologiczno – literackie – sądzę, że im prościej sprawę potraktować, tym lepiej. Chodzi mi tylko o to, żeby się ograniczyć do jakiegoś jednego aspektu, bo całości Mickiewicza nie można wtłoczyć w ramy przemówienia.

Proszę o słówko wiadomości, co do pogadanki mickiewiczowskiej. Co do spotkania z dziennikarzami, to raczej chyba powinnam odpowiadać na pytania, niż „trzymać mowę".

Serdeczne pozdrowienia M. Kuncewiczowa

WHEATLEY 5-0002.

THE GARDEN COTTAGE,
PRIVATE ROAD 40,
WHEATLEY ~~[illegible]~~ ROAD,
OLD WESTBURY,
LONG ISLAND.

20.X.55.

Drogi Panie,

mam radość, że już dotarły ręce Pana materiały prasowe a także 2 książki, które dość już dawno temu Pójdą wysłał pod adresem Mary Lehnerdorsej: The Conspiracy of the Absent i The Forester.

Cieszę się, że niedługo Pana zobaczę po tylu latach i będę mogła osobiście podziękować za Pana wielką życzliwość i trudy bo zwrotem z moim przyjazdem do Toronto.

Ze swojej strony robię co mogę, żeby dobrze przygotować odczyt. Przed chwilą wróciłam z N. Yorku gdzie przez 3 dni siedziałam Ramusem w bibliotece, czytając i odświeżając w pamięci wszystkie Mickiewiczowskie. Ciągle jeszcze nie wiem jaki ma być temat odczytu na Uniwersytecie. Myślałam, że także o Mickiewiczu, tylko po angielsku. Chciałabym

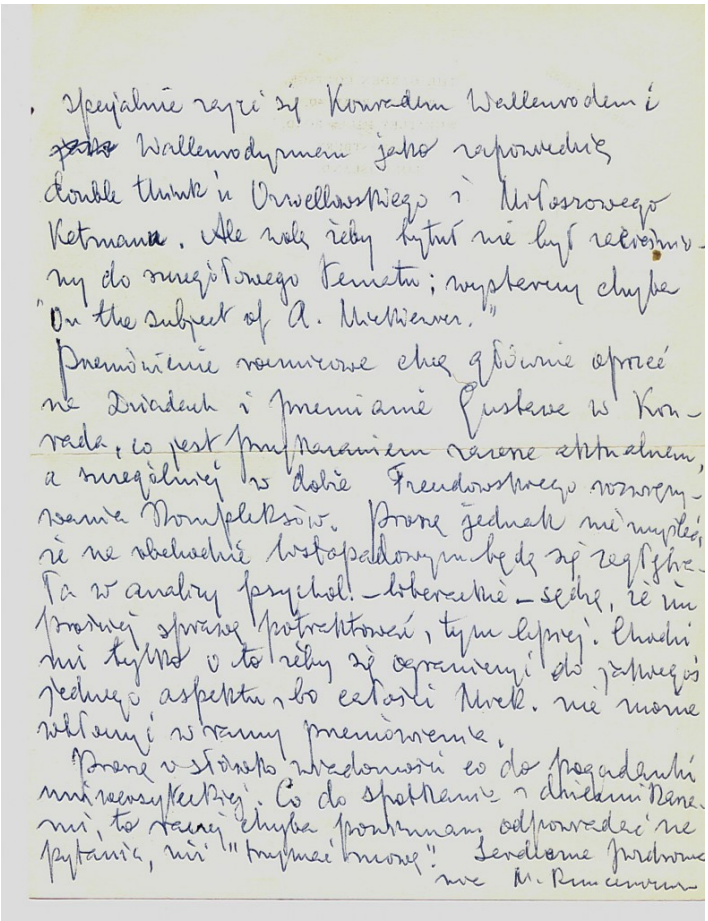

2.

The Garden Cottage, Private Road 40, Wheatley Road, Old Westbury, Long Island.

25.XI.55.

Drogi Panie, wróciłam dopiero wczoraj po b. udanym pobycie w Montrealu i Quebeck'u. Jestem zmęczona, ale b. zadowolona. Spieszę Panu podziękować za Jego trudy i życzliwość. Szczerze się cieszę, ze miałam okazję Pana poznać, ale uważam, że właściwie wcaleśmy nie pogadali na tematy prawdziwie

interesujące, taka była (…) Ulica w tem miłem skądinąd Toronto.

Będę wkrótce mówiła do radia Free Europa o mojej kanadyjskiej wycieczce i nie omieszkam wspomnieć naszego spotkania. Chcę też napisać artykuł do „Wiadomości” w formie listu do St. Balińskiego i tam też o Panu oczywiście nadmienię. Ale ten artykuł, to jeszcze nie zaraz, bo jestem zawalona pracą terminową przed Świętami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.

We wszystkich wywiadach prasowych i radiowych w Montrealu i Quebeck’u mówiłam o rocznicy Mickiewiczowskiej i o Kongresie Polonii Oddz. Toronto.

Proszę się nie gniewać jeśli nie ze wszystkimi, czy nie dość się widziałam, ale Pan chyba wie w jakim gwałcie się żyło na Lawton Bld. i jak szybko zleciał ten tydzień.

Proszę o mnie nie zapomnieć przy bytności w N. Jorku.
Serdeczne pozdrowienie! M. Kuncewiczowa.

WHEATLEY 5-0002.

THE GARDEN COTTAGE,
PRIVATE ROAD 40,
WHEATLEY ~~[illegible]~~ ROAD,
OLD WESTBURY,
LONG ISLAND.

25. XI. 55

Droga Pani, witam serdecznie po b. udanym pobycie w Montrealu i Quebec'u. Jestem zmęczona, ale b. zadowolona. Słyszę Pani przedwczoraj że Jego trudy i zyski wzrosły. Śmieję się więc, że miałam okazję Pani pomóc, ale wierzam że zdaniem wcale My nie pogadali na tematy prawdziwie interesujące, takie była Zawoińska Ulica w tem małem sklepiku pod Toronto.

Będę wkrótce mówiła do radia Free Europe o mojej Kanadyjskiej wycieczce i nie omieszkam wspomnieć naszego

spotkania. Chcę też napisać artykuł do Wiadomości w formie listu do St. Balińskiego i tam też o Pani oczywiście nadmienię. Ale ten artykuł, to jeszcze nie zaraz, bo jestem zawalona pracą terminową, przed Świętami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.

We wszystkich wywiadach prasowych i radiowych w Montrealu i Quebec'u mówiłam o rocznicy Konstytucyjnej i o Kongresie Polonii Oddz. Toronto.

Proszę się nie gniewać jeśli nie ze wszystkimi, czy nie dość się widziałam, ale Pani chyba widziała w jakim gwałcie się żyło na Lawton Bld, i jak szybko zleciał ten tydzień.

Proszę o mnie nie zapomnieć przy bytności w N. Yorku.

Serdeczne pozdrowienia!

M. Rumczewska

Wacław Iwaniuk

Urodził się 17 grudnia 1912 roku w Chojnie Starym pod Chełmem. Po ukończeniu Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Chełmie odbył studia wyższe na wydziale prawno-ekonomicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie specjalizując się w zagadnieniach emigracyjno-kolonialnych. Debiutował jeszcze w Chełmie w młodzieżowym piśmie „Spójnia" wierszem „Śmierć", choć właściwy, „dorosły" debiut nastąpił w roku 1933 w czasopiśmie „Kuźnia Młodych" (nr 11). W tym samym roku otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie poetyckim pisma. Po przeniesieniu się do Warszawy przez czas jakiś mieszkał u słynnej Rózi przy ulicy Dobrej 9, wspólnie z poetami S. Piętakiem i H. Domińskim. Zbliżył się wtedy do Józefa Czechowicza, pozostając przez dłuższy czas pod urokiem jego poezji. Przed rokiem 1939 zamieszczał wiersze w czasopismach: „Kamena" (1934-1938), „Miesięcznik Literatury i Sztuki" (1934-1936), „Okolica Poetów" (1935-1938), „Zet" (1935-1937), „Kultura" (1936-1937), „Kurier Poranny" (1936-1938) i „Zwierciadło" (1937-1938). Wiersze te złożyły się na dwa zbiory: dobrze przyjętą przez krytykę *Pełnię czerwca* (Chełm 1936) oraz arkusz poetycki pod redakcją Czechowicza pt. *Dzień apokaliptyczny* (Warszawa 1938).

W styczniu 1939 roku po ukończeniu studiów uzyskał stypendium Funduszu Kultury Narodowej i z ramienia MSZ wyjechał na praktykę konsularną do Buenos Aires. Po wybuchu II wojny światowej wrócił do Europy i w grudniu 1939 roku zgłosił się na ochotnika do wojska polskiego we Francji. Dostał przydział do Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, z którą walczył pod Narwikiem. Za kampanię norweską otrzymał odznaczenia francuskie i angielskie. Po kapitulacji Francji usiłował przedostać się przez Hiszpanię do Wielkiej Brytanii. Aresztowany przez hiszpańską żandarmerię został osadzony w obozie Miranda de Ebro, skąd zbiegł i dotarł do Gibraltaru. W początkach 1940 roku ewakuowany do Anglii wstąpił do polskich sił zbrojnych w Szkocji. W 1944 roku odbył szlak bojowy wraz z 1. Dywizją Pancerną im. gen. Stanisława Maczka, przez Francję, Belgię, Holandię i Niemcy. Za udział w walkach pod Falaise otrzymał Krzyż Walecznych. Powstałe w czasie wojny utwory poetyckie publikował w prasie wojskowej: „Polska Walcząca" (1943-1944) i „Defilada" (1945). W 1950 roku zebrane zostały jako osobny zbiór w paryskiej „Kulturze".

W 1946 roku Iwaniuk powrócił z kontynentu do Anglii i podjął studia w Cambridge. Zdemobilizowany w 1948 roku wyjechał do rodziny do Kanady. Początkowo mieszkał w Edmonton, później przeniósł się do Toronto podejmując pracę w rzeźni, a następnie pracując jako urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości rządu prowincji Ontario i jako tłumacz przysięgły. W 1951 roku założył

w Toronto klub literacko-artystyczny pod nazwą Konfraternia Artystyczna „Smocza Jama”. Coraz liczniejsze wiersze, artykuły, recenzje literackie oraz przekłady poezji anglojęzycznej publikował w czasopismach emigracyjnych: „Kultura” (od 1950) „Wiadomości” (od 1950), „Związkowiec” (od 1956), „Kontynenty” (od 1961), „Tematy” (od 1963), „Oficyna Poetów” (od 1966), a także „Gwiazda Polarna”, „Pamiętnik Literacki”, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” oraz „Archipelag”. Otrzymał wiele nagród literackich m.in. paryskiej „Kultury” (1964), Fundacji A. Jurzykowskiego (1968), Fundacji im. Kościelskich (1971), „Wiadomości” (1975), Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (ZPPnO 1979), Fundacji im. Wł. i Nelli Turzańskich (1988). Był członkiem ZPPnO, do 1986 jury londyńskich „Wiadomości” i komitetu doradczego Fundacji A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku. Od 1980 roku publikował w kraju w czasopismach drugiego obiegu („Zapis” i „Arka”) oraz w prasie katolickiej: „Więź” i „Tygodnik Powszechny”. Po roku 1990 współpracował z krakowską dekadą literacką i rzeszowską „Frazą”.

Wacław Iwaniuk opublikował ponad 20 tomów poetyckich (m.in.: *Milczenia*, *Ciemny czas*, *Lustro*, *Nemezis idzie pustymi drogami*, *Nocne rozmowy, Moje strony świata, Zanim*

znikniemy w opactwie kolorów (Kraków 1991), Wiersze wybrane (Toronto1995). Po angielsku wydał wiersze: *Evenings on Lake Ontario* (Toronto 1972) oraz Dark Times (1979). Z jego książek

prozatorskich należy wymienić: *Podróż do Europy. Opowiadania i szkice* (Londyn 1982) oraz *Ostatni romantyk. Wspomnienie o Józefie Łobodowskim* (Toruń 1998). Zajmował się również twórczością translatorską, tłumacząc poetów amerykańskich i kanadyjskich. W 1995 roku ukazał się wybór listów J. Wittlina, K. Wierzyńskiego i A. Janty do W. Iwaniuka pt. *Samotność słowa* (Lublin 1995).

Prawie całe swoje archiwum Wacław Iwaniuk podarował toruńskiemu Archiwum Emigracji w roku 1998. Niewielki fragment korespondencji oraz rękopisy otrzymał Henryk Wójcik. Archiwum przesłane do Torunia zawierało również fragment księgozbioru (większość biblioteki otrzymało sandomierskie Muzeum Literatury), a także kilka prac malarskich i rysunków Józefa Czapskiego, Jana Lebensteina, Nikifora, Krystyny Sadowskiej i innych.

Na podstawie materiałów Archiwum Emigracji, Toruń